



Głos Pawłowa



Nr 3 (62) 2022

Wrzesień 2022

Egzemplarz bezpłatny



Gazeta Regionalna
Stowarzyszenia Przyjaciół Pawłowa

XX Jarmark Pawłowski - Ginące Zawody



Fot. T. Sławiński

MARLENIE MAŁECKIEJ-CIECHOMSKIEJ

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



OJCA
LEOPOLDA
CIECHOMSKIEGO

długoletniego nauczyciela i wychowawcy
młodzieży szkolnej oraz akademickiej miasta Poznania,
zmarłego dnia 4 sierpnia 2022 roku

składa
rodzina Waclawa Ciechomskiego

WACŁAWOWI CIECHOMSKIEMU
członkowi Stowarzyszenia Przyjaciół Pawłowa
oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



BRATA
LEOPOLDA
CIECHOMSKIEGO

składają
składają członkowie i sympatycy
Stowarzyszenia Przyjaciół Pawłowa

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PAWŁOWA

22-172 Pawłów, ul. Szkolna 2

Bank Spółdzielczy w Cycowie, Nr Konta: 26-8191-1013-2004-4000-0462-0001

„Głos Pawłowa” redaguje zespół w składzie:

Danuta Kurczewicz, Dorota Jaszczuk, Magdalena Boruchalska, Maria Rejman,
Andrzej Kosz i Stefan Kurczewicz (red. prowadzący)

Korespondencję oraz artykuły do czasopisma prosimy kierować na adres:

Gminny Ośrodek Kultury, 22-172 Pawłów, tel. 82 566 46 03

Adres e-mail: gokpawlow@op.pl skurczewicz@o2.pl
www.spppawlow.pl - aktualizacja Karol Kwiatkowski

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za poglądy wyrażone przez autorów artykułów.

Nakład: 300 egzemplarzy

Skład i druk: Drukarnia SEYKAM, 22-100 Chełm, ul. Hrubieszowska 102/14
tel. 602 103 692, e-mail : drukarniaseykam@gmail.com

Spis treści

ks. Andrzej Kołodziejski
Kalendarium wydarzeń Parafii
pw. św. Jana Chrzciciela w Pawłowie 3

Grażyna Bartoszek
Złote Gody w Pawłowie 3

Henryk Głąb
Parafia Pawłów w latach 1763-1820
w świetle ksiąg metrykalnych Cz. 1.
Najstarsze księgi metrykalne Pawłowa 4

Fotorelacja
z Jarmarku Pawłowskiego 6

Agnieszka Herda
XX Jarmark Pawłowski – Ginące
Zawody 7

Aleksandra Słomczyńska
Inwestycje Gminy Rejowiec
Fabryczny 8

Agnieszka Herda
Dożynki gminno-parafialne w Wólce
Kańskiej 9

Agnieszka Herda
Rajd rowerowy „Tour de Lubelskie”
Chełm 10

Magdalena Boruchalska
Z życia Szkoły Podstawowej im. Jana
Kochanowskiego w Pawłowie 10

Jerzy Symotiuł
50 lat Spółdzielni „Pawłowianka”
(1935-1985) cz. IV 11

Lucyna Lipińska
Moje reminiscencje. Część XII 14

Maria Rejman
Sieroca doła cz. IV 16

Tadeusz Boniecki
Garnki Rodu Kwiatkowskich. Cz. 2 17

Karol Kwiatkowski
Z Anglii do Pawłowa na rowerze.
Cz. I 20

Ks. Prof. zw. dr hab. Edward Walewander
Moja szkoła po latach 23

Jolanta Kądzielewska z d. Lipińska
Stanisław Lipiński (1936-2022) 25

Kącik poetycki
Ewa Bechyně-Henkiel - *Wiersze* 27

Fotoreportaż „Głosu Pawłowa” 28



Numery archiwalne
„Głos Pawłowa”
do pobrania
na stronie
spppawlow.pl

Kalendarium wydarzeń Parafii pw. św. Jana Chrzcziciela w Pawłowie



ks. Andrzej Kołodziejski,
Proboszcz Parafii pw. św. Jana
Chrzcziciela w Pawłowie

- **16 czerwca 2022 r.** – „Droga młodych” – spacer rodzinny drogami, łąkami i lasem, zakończony wspólnym ogniskiem.
- **23 czerwca 2022 r.** – Powrót dwóch obrazów po renowacji: *Ukrzyżowanie i Św. Antoni* oraz krzyża ołtarzowego z podstawą, a także przebudowa wjazdu i głównej bramy według aktualnych wymogów bezpieczeństwa.
- **24 czerwca 2022r.** – Odpust Parafialny ku czci Św. Jana Chrzcziciela patrona Parafii; montaż słowno-muzyczny o tematyce powołaniowej w wykonaniu naszych dzieci. Msza św. Jubileuszowa kapłanów, obchodzących 25 lecie święceń, pod liturgicznym przewodnictwem ks. dr hab. Macieja Hułasa - pracownika naukowego KUL, z homilią ks. dr Marka Szymańskiego, dyrektora Wydawnictwa Katolickiego *Gaudium* z Lublina.
- **25 czerwca - 1 lipca 2022r.** – W naszym Domu Parafialnym w rekolekcjach uczestniczyła Wspólnota Ruchu Rodzin Nazaretańskich z ks. Bogusławem Marzędą oraz młodzież pod namiotami z ks. Emilem Mazurem (27 osób).
- **4 - 7 lipca 2022 r.** – Wyjazd wakacyjny z rodzinami do Krynicy Zdrój. Zwiedziliśmy między innymi: Ciężkowice – „skamieniałe miasto”, Tropie – pustelnię i sanktuarium św. Andrzeja Świerada i Benedykta, Prudnik – zabytkową cerkiew, wjechalismy kolejką na Jaworzynę, podziwiając panoramę Beskidu Sądeckiego. Muszyna – zwiedzanie ogrodów sensorycznych i centrum miasta. Krynica – Park Zdrojowy, Stary Sącz – Ołtarz Polowy, przy którym Ojciec Święty odprawiał Eucharystię oraz klasztor Sióstr Klarysek i miejsce spoczynku św. Kingi, Szymbark – kasztel renesansowy oraz skansen, Biecz – gotycki kościół, Binarowa – kościół drewniany – zabytek światowego dziedzictwa.
- **7 sierpnia 2022 r.** – Po raz drugi wspólnota parafialna uczestniczyła w Jarmarku Pawłowskim „Ginące zawody”. Na placu kościelnym była kawiarenka i stoisko z pamiątkami, a w świątyni odbył się koncert kameralny na fortepian i skrzypce pod przewodnictwem Pani dr hab. Agnieszki Szulc-Brzyskiej – pracownika Muzykologii KUL.
- **15 sierpnia 2022r.** – Uroczystość Wniebowzięci Najświętszej Maryi Panny. **Druga rocznica powrotu ikony MB Pani Pawłowskiej po renowacji.** Dożynki Parafialne, którym przewodniczył ks. Krzysztof Ciupak z Parafii Św. Wojciecha z Lublina.
- **25 sierpnia 2022 r.** – Wycieczka z dziećmi, młodzieżą i rodzicami do Niepokalanowa i Warszawy – Centrum Nauki Kopernik oraz spacer po Starym Mieście. Uczestniczyły 52 osoby.
- **28 sierpnia 2022 r.** – Kaplica w Tomaszówce. W godzinach wieczornych wspólna „Wieczornica”. Dobra okazja do integracji wspólnoty.

Złote Gody w Pawłowie

Grażyna Bartoszuk

Medale za długoletnie pożyacie małżeńskie przyznane przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudę zostały wręczone jubilatom podczas uroczystości Gminnym Ośrodkiem Kultury w Pawłowie 25 czerwca 2022 roku. Na uroczystości przybyły rodziny jubilatów oraz przedstawiciele władz samorządowych: Wicestarosta Chełmski Jerzy Kwiatkowski, Stanisław Bodys - Burmistrz Miasta Rejowiec Fabryczny oraz Zdzisław Krupa – Wójt Gminy Rejowiec Fabryczny. *W tym roku złote gody świętowało 35 par małżeńskich z terenu miasta i gminy Rejowiec Fabryczny:* Czesława i Józef Czerwiński, Teresa i Ludwik Jaroszowie, Sabina i Jan Ostrowscy, Kazimiera i Stanisław

Pukasowie, Aniela i Ryszard Wójcikowie, Anna i Stefan Błasiowie, Janina i Lucjan Czulukowie, Jadwiga Tadeusz Doleccy, Alicja i Kazimierz Fornalowie, Bożena i Józef Kopciewiczowie, Grażyna i Stanisław Kozioł, Krystyna i Waldemar Powagowie, Emilia i Jan Świergalscy, Wanda i Mieczysław Tuliakowscy, Danuta i Stefan Wdowiczowie, Halina i Jerzy Zawadzcy, Kazimiera i Kazimierz Błaszczukowie, Danuta i Kazimierz Dziakowie, Leokadia i Józef Głogoszowie, Róża i Wiesław Golanowie, Halina i Ryszard Kurzepowie, Elżbieta i Bronisław Lewiccy, Grażyna i Ryszard Maziarczukowie, Irena i Adam Posturzyńscy, Zofia i Tadeusz Strugowie, Teresa i Mieczysław Daszkiewiczowie, Irena i Feliks Józwiacy,

Władysława i Henryk Steciowie, Elżbieta i Ryszard Cimkowie, Mariana i Kazimierz Jonikowie, Krystyna i Mieczysław Kazimierzukowie, Helena i Bogusław Łopaciukowie, Maria i Czesław Nakielscy, Krystyna i Adam Żukowscy, Bogusława i Czesław Krzyżanowscy.

Ten szczególny jubileusz jest dowodem na to, jak ważna w życiu jest miłość i bliskość drugiej osoby. Te wspólnie przeżyte lata to symbol wierności i miłości rodzinnej. To również piękny przykład oraz wzór dla młodych pokoleń wstępujących w związki małżeńskie. Wszystkim zasłużonym parom serdecznie gratulujemy i życzymy jeszcze wielu lat spędzonych razem w szczęściu i zdrowiu!

Parafia Pawłów w latach 1763-1820 w świetle ksiąg metrykalnych

Cz. 1. Najstarsze księgi metrykalne Pawłowa

Henryk Głab

Księgami metrykalnymi nazywamy księgi prowadzone w celu rejestracji urodzeń (chrztów), ślubów i zgonów. W kościele rzymskokatolickim księgi metrykalne wprowadzone zostały uchwałami soboru trydenckiego (1545-1563), stąd księgi te nazywane są „trydenckimi”. W poszczególnych parafiach księgi wprowadzone zostały w różnym czasie. Najstarsza zachowana księga metrykalna parafii Pawłów pochodzi z końca 1763 r. Nie ma żadnej wzmianki o księgach wcześniejszych. Jest to data stosunkowo późna, dla porównania - w sąsiednich Biskupicach zachowała się księga chrztów prowadzona od roku 1641¹.

Najstarsza księga metrykalna parafii Pawłów składa się z trzech części:

- metryk chrztu (*Metrica Baptizatorum*) zajmujących pierwsze 138 stron, pierwszy akt pochodzi z 1 września 1763, ostatni z 22 lutego 1795;
- metryk ślubów (*Metrica Copulatum*) zajmujących strony 139 - 296, pierwszy akt pochodzi z 5 lutego 1764, ostatni z 3 lutego 1793;
- metryk zgonów (*Metrica Sepulorum*) zajmujących strony 297 - 456, pierwszy akt pochodzi z 27 listopada 1763, ostatni z 25 grudnia 1794.

Kontynuacją tej księgi były trzy odrębne księgi:

- księga urodzeń, od 1 stycznia 1796 do 14 listopada 1808, ponadto są tu dopisane na pierwszej stronie 2 akty z roku 1809;
- księga ślubów, od 27 lutego 1793 do 18 listopada 1821;
- księga zgonów, od 6 stycznia 1795, do 29 grudnia 1822.

Księgi te prowadzone były w języku łacińskim i składają się z krótkich zapisów. Przykładowy akt wygląda następująco (akt chrztu nr 137 z 28 marca 1768):

Ego Antonius Wołoszynski Commen[darius] Ecclesiae Pawłowiensis baptizavi infantem nomine Benedictum heri natum filium labor[iosor]: Adalberti et Mariannae Kopciow Conjugum Legitt. Patrini erant Franciscus Kliniuk et Catharina Tracichlebowa omnes de Pawłów

[Ja Antoni Wołoszyński komendarz kościoła pawłowskiego ochrzciłem dziecko imieniem Bededykt wczoraj urodzonego syna pracowitych Wojciecha i Marianny Kopciów małżeństwa legalnego. Chrzestnymi byli Franciszek Kliniuk i Katarzyna Tracichlebowa wszyscy z Pawłowa]

Jak widać z powyższego przykładu, nazwiska zapisywano w brzmieniu polskim, natomiast imiona tłumaczono na łacinę, stąd *Wojciech* zapisywany był jako *Adalbertus*.

Po III rozbiórce Polski w 1795 r. parafia znalazła się w zaborze austriackim. Od początku roku 1797 decyzją władz państwowych wprowadzone zostały w parafiach specjalne księgi metrykalne zwane austriackimi. Charakteryzują się one tym, że posiadały drukowane rubryki, do których wpisywano kolejne akty. Dla każdej miejscowości przeznaczony był odrębny strona. Na początku każdej księgi była wydrukowana kilkustronicowa instrukcja w języku łacińskim i polskim. Omówione tam były zasady wypełniania kolejnych rubryk, a na końcu była „przestroga” przed karami finansowymi za „nieporządek lub niedbalstwo” przy prowadzeniu księgi.

Zapisy w księgach prowadzone były w dalszym ciągu w języku łacińskim.

Z czasów austriackich pochodzą trzy księgi:

- księga urodzeń, są tu zapisy z lat 1797 - 1820, ponadto dwa zapisy pochodzą z 1833 i 1834;
- księga ślubów, są tu zapisy z lat 1797 - 1809, ponadto dla niektórych miejscowości dodano zapisy z lat 1819 i 1820;
- księga zgonów, są tu zapisy z lat 1797 - 1809, tu również dodano zapisy późniejsze, z lat 1819 i 1820, jeden nawet z 1834.

Pierwsze zapisy w austriackiej księdze urodzeń

W księdze urodzeń mamy kolejne rubryki: data, nr domu, imię, religia (katolik, niekatolik), płeć, ślubny, nieślubny, imiona i nazwiska rodziców, chrzestni (nazwiska i status społeczny). Rubryka „religia” sugeruje, że ewidencjonowano tu wszystkie urodzenia bez względu na wyznanie, w rzeczywistości była to w dalszym ciągu ewidencja chrztów. Jedynymi niekatolikami byli tu konwertycy z judaizmu, odnotowano kilka takich przypadków.

Również w księdze ślubów są wyłącznie zapisy dotyczące katolików. Niektórzy z nich byli obrządku greckiego (unicy). Byli to wyłącznie mężczyźni z małżeństw mieszanych, ponieważ ślub odbywał się z reguły w parafii, do której należała kobieta.

Jedynie w księdze zgonów znalazł się pojedynczy zapis dotyczący niekatolicki, prawdopodobnie wyznania ewangelickiego.

Oppidum Pawłow. 7

1797.		Nomen.	Religio		Sexus		Parentes.		Patrini.		
Dies & Mensis.	Numerus Domus.		Catholica	Aeatholica	Mas	Foemina	legitimus Thori.	illegitimus Thori.	Pater.	Mater.	Nomen.
1 5. Aprilis 104.	1	Adalbertus	1	1	1			Jacobus Ozimek.	Agnes nata Sara Maszuba.	Petrus Poputzyński Marta Mielniczewska	Oppidum Vicina
2 20. Ejus 57.	2	Francisca.	1	1	1			Jacobus Kandałajński.	Theresia nata Sara Maszuba.	Petrus Poputzyński Marta De Sadowskiej rozrywowa	Oppidum Vicina
3 9. Julii 51.	3	Martinus	1	1	1			Christophorus Zawislak.	Francisca nata Sara Maszuba.	Hamilaga Gorzowska Rozalia Pławania Kowa.	Vicini

Na postawie wymienionych powyżej 4 ksiąg „trydenckich” i 3 ksiąg austriackich sporządzony został *Spis Urodzonych Zaślubionych i Zmarłych od roku 1763 do roku 1810*², imiona łacińskie przetłumaczono tu na polskie. Na końcu spisu znajduje się adnotacja, że został sprawdzony 20 listopada 1854 r., więc prawdopodobnie w tym roku również został sporządzony.

W roku 1809 część zaboru austriackiego leżąca między Wisłą i Bugiem została włączona do Księstwa Warszawskiego. Następstwem tego było wprowadzenie w życie na tym terenie pod koniec roku 1810 przepisów Kodeksu Napoleona obowiązującego w Księstwie. Wprowadzono śluby cywilne dla wszystkich oraz powołano urzędników stanu cywilnego, którzy rejestrowali urodzenia, śluby i zgony wszystkich osób bez względu na wyznanie. Wprowadzone zostały wówczas nowe księgi metrykalne tzw. „napoleońskie”, prowadzone w języku polskim³. W praktyce obowiązki urzędników stanu cywilnego powierzono duchownym parafii rzymskokatolickich i greckokatolickich. W wyniku tego duchowni katolicy rejestrowali urodzenia oraz udzielali ślubów również osobom innego wyznania, najczęściej wyznania mojżeszowego.

Oto przykład takiego aktu (akt urodz. nr 19 z 1812 r.⁴):

Choyno Stare

Roku tysiąc osiemset dwunastego dnia dwunastego miesiąca lipca o godzinie szostey rano. Przed nami proboszczem Pawłowskim sprawującym obowiązki urzędnika stanu cywilnego gminy Pawłowskiej powiatu Chełmskiego w departamencie Lubelskim – stawił się Hetco Ickowicz wyznania mojżeszowego Arędarz liczący lat pięćdziesiąt w Choinie zamieszkały y okazał nam dziecię płci męskiej które urodziło się w domu iego na dniu czwartym miesiąca lipca roku bieżącego pod numerem dwudziestym siódmym zamieszkałym – oświadczając iż iest splotzone z niego y Myszkiel Herszkowiczowny z pierwszego szluby iego małżonki mającey lat czterdzieści i że życzeniem iego iest nadać mu imiona Icek Herszko, po uczynieniu powyższego oświadczenia y okazaniu dziecięcia – w przytomności Josia Herszkowicza Arędarza liczącego lat dwadzieścia cztery w Choinie zamieszkałego na części urodzonego Polkowskiego – oyciec i ieden świadek to iest Jos Herszkowicz z nami niniejszy Akt po przeczytaniu onego stawiającym podpisany po hebrajsku.

[podpisy alfabetem hebrajskim]

Józef hrabia Korczak Komorowski Kan[onik] i Off[icyał] Lubelski Proboszcz i urzędnik cywilny Gminów w Parafii Pawłowskiej

Jak widać z powyższego przykładu, proboszcz pełni tu funkcję urzędni-

ka stanu cywilnego, nie ma wzmianki o chrzcie, a jedynie jest to rejestracja urodzenia i nadania imion.

W księgach ślubów z lat 1810 – 1820 nie ma przypadku ślubu udzielonego osobom wyznania mojżeszowego, natomiast jest kilka takich przypadków z lat trochę późniejszych.

Katolików po ślubie cywilnym obowiązywał również ślub religijny, co było odnotowywane w starych księgach łacińskich. W Pawłowie przyjęło się, że pod aktem ślubu cywilnego podpisywał się proboszcz, natomiast ślubu religijnego udzielał wikary.

Kodeks Napoleona obowiązywał do roku 1825, natomiast w roku 1826 wszedł w życie *Kodex Cywilny Królestwa Polskiego*, śluby cywilne zlikwidowano, pozostawiając wyłącznie religijne, i wprowadzono księgi metrykalne oddzielne dla każdego wyznania⁵.

1 http://ksiegimetrykalne.pl/viewer/#biskupice/Chrzty/25_1_1/25_1_1_0001.jpg

2 odpis dokumentu (nie zawsze czytelny) znajduje się w Archiwum Państwowym w Lublinie, Akta parafii rzymskokatolickiej w Pawłowie, sygn. 3.

3 *Kodex Napoleona*, Warszawa 1808 (reprint 2008), Tytuł II, o aktach stanu cywilnego, s. 13 - 33

4 <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/en/skan/-/skan/9f46c09f80829d446231864eb7e-774343dec068f354459754ffdaebf338cc14e>

5 *Dziennik Praw Królestwa Polskiego*, Tom 10, Nr 41, 1825 r., *Kodex Cywilny Królestwa Polskiego*, Tytuł IV, O aktach stanu cywilnego, Tytuł V, O małżeństwie, s. 41 - 131

Fotorelacja z Jarmarku Pawłowskiego



XX Jarmark Pawłowski - GINĄCE ZAWODY -

PODZIĘKOWANIE

Zakorzenione w pawłowskiej tradycji od ponad 500 lat coroczne jarmarki stanowiły ważne wydarzenie społeczno – ekonomiczne dla licznych pokoleń mieszkańców Pawłowa, nadając miasteczku swoistą rangę i koloryt. Po wielu latach przerwy na początku XXI wieku doroczny jarmark ponownie zagościł na Pawłowskiej Ziemi z przesłaniem reaktywacji „Ginących zawodów”. Wyznaczony cel z powodzeniem realizowany jest w tym roku już po raz 20 – sty. Nie byłoby to możliwe bez zaangażowania i dobrej woli wielu instytucji, firm i pasjonatów lokalnej tradycji.

Organizatorzy Jarmarku Pawłowskiego „Ginące zawody” składają serdeczne podziękowania dla

Pana Stefana Kurczewicza

Prezesa Stowarzyszenia Przyjaciół Pawłowa

za owocną współpracę i pomoc przy organizacji kolejnej edycji naszej imprezy.

Wyrażając swoją wdzięczność życzymy Państwu powodzenia w realizacji wszelkich planów i zamierzeń.

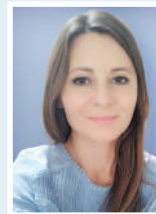
Przewodniczący Rady
Gminy Rzędziszewo Fabryczny
Miroslaw Mazur



Wice
Gminy Rzędziszewo Fabryczny
Zdzislaw Krupa

Pawłów, 07.08.2022 r.

XX Jarmark Pawłowski – Ginące Zawody



Agnieszka
Herda

Ponad 120 stoisk twórców ludowych, wiele kramów producentów produktów rolnych, pokazy ginących zawodów, wspaniała kuchnia kół gospodyń z terenu naszej gminy i regionu, pyszna kawa i słodkości w parafialnej kawiarence, porywająca ludowa muzyka, dobiegająca ze sceny koncertowej, konkursy z nagrodami, niesamowity koncert Zespołu „Piersi”, nastrojowy koncert kameralny w lokalnym kościele, energiczna zabawa taneczna z Zespołem „SieGra Cover Band”, park rozrywki dla dzieci, przepiękna pogoda oraz rekordowa liczba zafascynowanych rzemiosłem gości - tak właśnie wyglądał tegoroczny Jarmark Pawłowski - Ginące Zawody, który odbył się w niedzielę 7 sierpnia 2022 r.

Była to jubileuszowa, 20. edycja tego wydarzenia, które tradycyjnie rozpoczęła Msza Święta w Kościele Parafialnym pw. Św. Jana Chrzciciela w Pawłowie w intencji rzemieślników i twórców ludowych.

Swoją obecnością zaszczylili jarmark m. innymi: Beata Mazurek – Poseł do Parlamentu Europejskiego, Anna Dąbrowska – Banaszek – Poseł na Sejm RP, Józef Zajac – Senator RP, Piotr Deniszczyk – Starosta Chełmski, Jerzy Kwiatkowski – Wicestarosta Chełmski, Zdzisław Szwed - Członek Zarządu Województwa Lubelskiego.

W parku oraz na rynku wśród twórców oprócz garncarzy i bednarzy można było spotkać również tkaczy, wikliniarzy, rzeźbiarzy, kowali, hafciarzy oraz wielu rękodzielników, których wypełnione po brzegi stoiska zachęcały do zakupów. Poza przedmiotami użytkowymi nabyć można było także miody, chleb, kwasy chlebowe, sery, ciasta oraz inne wspaniałości, oferowane przez regionalnych producentów.

Zagroda edukacyjna, ciesząca się dużym zainteresowaniem odwiedzających - nie tylko dzieci, ale i dorosłych

- była miejscem, gdzie na żywo można było zobaczyć, jak rzemieślnicy wykonują swoje przedmioty oraz samemu coś wykonać. Rzemiosło można było również podziwiać na ekspozycjach stałych, znajdujących się w pawłowskich izbach pamięci: garncarskiej oraz bednarzkiej, prezentujących prace lokalnych twórców, niegdyś żyjących i tworzących w Pawłowie.

Podczas jarmarku rozstrzygnięto cztery konkursy.

XXI Konkurs garncarski „Garnki rzymskie” (nagrody ufundowane przez Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego): I miejsce - Sławomir Żołnacz, II miejsce - Szczepan Kasiura, III miejsce - Marek Frącek.

Wyróżnienia otrzymali: Elżbieta Bułdin oraz Robert Wójtowicz.

W imieniu Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego nagrody finansowe wręczył Zdzisław Szwed - Członek Zarządu Województwa Lubelskiego. Wszystkie prace konkursowe zostały zaprezentowane na wystawie pokonkursowej w „Zagrodzie edukacyjnej”, umiejscowionej w pawłowskim parku.

Konkurs na najatrakcyjniej prezentowany Ginący Zawód (nagrody ufundowane przez Starostę Powiatu Chełmskiego Piotra Deniszczyka): I miejsce - Małgorzata i Tomasz Krajewscy (pająki), II miejsce - Sebastian i Zofia Kozłowski (wyroby garncarskie), III miejsce - Krzysztof Marczydło (wyroby kowalskie).

Wyróżnienia przyznano: Reginie Redde (wyroby tkackie na krosnach), Marii Szwargolińskiej (wyroby na szydełku), Krystynie i Janowi Ulanickim (wyroby rzeźbiarskie), Barbarze Wolińskiej (kompozycje z suchych kwiatów) oraz Władysławowi Kowalowi (wyroby z wikliny - koszyki).

Konkurs kulinarny „Tradycyjne smaki Gminy Rejowiec Fabryczny” (nagrody ufundowane przez Wójta Gminy Rejowiec Fabryczny Zdzisława Krupę).

A. Produkty pochodzenia zwierzęcego: I miejsce - Koło Gospodyń Wiejskich „Gołębianki” (świeżonka), II miejsce - Koło Gospodyń Wiejskich w Białopolu (krupnik po gospodarsku), III miejsce - Koło Gospodyń Wiejskich w Krzywowoli „Krzywowolanki” (krzywowski sernik rozkoszny).

Wyróżnienie przyznano Monice Krzeszczyk (pyzy z mięsem w sosie kurkowym).

B. Produkty pochodzenia roślinnego: I miejsce - Elżbieta Drozd (a'la piróg z kaszą, serem i miętą), II miejsce - Iwona Stadnik (racuchy), III miejsce - Grażyna Rejak (pasztet z cukini).

Wyróżnienie przyznano Marii Kociubie (pasztet z kaszy gryczanej).

C. Produkty inne: I miejsce - Stowarzyszenie Aktywnych Gospodyń w Lisznie (nalewka Aroniówka), II miejsce - Krystyna Jonik (nalewka orzechowa), III miejsce - Ola Sałek (czarna nalewka z czarnego bzu z nutą wiśni).

Wyróżnienie otrzymało Koło Gospodyń Wiejskich „Wereszczyńanki” (nalewka wereszczyńska).

Nagrodę specjalną „Złotą Chochłę” otrzymało Stowarzyszenie Aktywnych Gospodyń w Lisznie.

Nagrodę publiczności w Konkursie na najatrakcyjniej prezentowany Ginący Zawód zdobyła Jadwiga Żukowska (wyroby hafciarskie i koronkarskie).

Fundatorami nagród w konkursie byli: firma Opus It Piotr Żelisko, Chełmski Park Wodny oraz „Pizza u Ewy” Ewa Mazurek.

Ludowy klimat na koncertowej scenie zapewnili: uczestnicy zajęć z GOK (grupa wokalna - Wiktoria Waryszak, Andżelika Filipczuk, Malwina Lachowska, Natalia Filipczuk, Amelia Raszyń-

ska; grupa taneczna - Wiktor Wójtowicz, Maja Psuja, Amelia Kapitan, Oliwia Kapitan, Jakub Kapitan, Zosia Umieniuk, Bianka Borysiuk, Kornelia Łuczkiwicz, Magdalena Lachowska, Katarzyna Filipczuk, Karolina Filipczuk; gitarzysta – Kamil Gliński), Zespół wokalnoinstrumentalny „Remedium” z Białopola, „Kapela na 102” z Białopola, Zespół śpiewaczy „Seniorki” z Wólki Kańskiej, Zespół śpiewaczy „Swojska Nuta” z Rejowca Fabrycznego, Kapela Ludowa „Lubartowiaczy” z Lubartowa, Zespół śpiewaczy „Radość” z Liszna, Kapela

„Swojacy” z Cycowa oraz Kapela „Uroczysko” z Krasnegostawu.

Organizatorami jarmarku byli: Gmina Rejowiec Fabryczny oraz Gminny Ośrodek Kultury im. R. Kapuścińskiego w Pawłowie.

Partnerami wydarzenia byli: Województwo Lubelskie „Lubelskie. Smakuj Życie!”, Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Gminy Rejowiec Fabryczny „Aktywni”, Stowarzyszenie Przyjaciół Pawłowa oraz Parafia pw. św. Jana Chrzciciela w Pawłowie.

Sponsorami wydarzenia byli: Po-

wiat Chełmski, Cement Ożarów, Opus IT Piotr Żelisko, Hotel „Regent”, Eco Harpoon Recykling Sp. z o.o. oraz PREF-BET.

Jubileuszowy pawłowski jarmark był objęty honorowym patronatem przez Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego oraz Wojewodę Lubelskiego Lecha Sprawkę.

Patronat medialny sprawowali: TVP3 Lublin, Polskie Radio Lublin, Radio Bon Ton, Dziennik Wschodni, Nowy Tydzień, Super Tydzień Chełmski oraz Kurier Lubelski.

Inwestycje Gminy Rejowiec Fabryczny

Aleksandra Słomczyńska

W lipcu 2022 roku miał miejsce odbiór końcowy robót budowlanych zadania „Przebudowa drogi gminnej (ul. Szkolna) w Pawłowie”. W ramach inwestycji ułożono nową nawierzchnię bitumiczną na długości 365 m oraz pobocze utwardzone kruszywem. Wykonano nowy chodnik i zjazd do posesji. Dla zapewnienia bezpieczeństwa zastosowano nowe oznakowanie. Całkowita wartość inwestycji to 704.840,67 zł, z czego 247.929,21 zł to wysokość dofinansowania z Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg i 456.911,46 zł wkład własny Gminy.

Zakończony został również pierwszy etap inwestycji w ramach zadania „Modernizacja infrastruktury kanalizacyjnej na terenie Gminy Rejowiec Fabryczny”. W sierpniu nastąpił odbiór robót, polegających na montażu fotowoltaiki na obiektach oczyszczalni ścieków w miejscowości Krasne i Pawłów. Panele fotowoltaiczne zapewnią korzyści natury ekonomicznej i ekologicznej. Fotowoltaika to niewyczerpalne źródło energii, która nie zanieczyszcza środowiska i zapewnia możliwość współpracy z siecią energetyczną. Wartość całkowita robót to 363.238,68 zł, z czego 268.800,00 zł to dofinansowanie z Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych oraz 94.438,68 zł wkład własny gminy. Kolejne zadania, które będą

realizowane w ramach tej inwestycji to modernizacja oczyszczalni ścieków oraz budowa rurociągu, odprowadzającego oczyszczone ścieki w miejscowości Krasne.

Gmina realizuje cały czas zadania, polegające na przebudowie dróg. W sierpniu została podpisana umowa z konsorcjum firm Pref-Bet Wytwórnia Mas Bitumicznych, Betonu i Prefabrykatów Sp. z o. o. z Pawłowa oraz B.G. Construction Sp. z o.o. z Wólki Tarnowskiej. Przedmiotem umowy jest przebudowa dróg w miejscowościach Kanie-Stacja, Wólka Kańska-Kolonia, Krasne, Liszno, Liszno-Kolonia, Kanie i Zalesie

Kańskie. Łączna długość tych dróg to ponad 7 km. Wyceniona przez wykonawcę wartość przebudowy to kwota 8.759.261,87 zł, z czego 7.351.000,00 zł to dofinansowanie z Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych i 1.408.261,87 zł wkład gminy. Termin wykonania zadań został określony na koniec lipca 2023 r.

Zachęcamy do śledzenia Platformy Zamówień Publicznych pod adresem strony internetowej <https://przetargi.ug.rejowiec.pl/>, gdzie mogą Państwo zobaczyć szczegółowy zakres inwestycji, aktualnie realizowanych przez Gminę Rejowiec Fabryczny.



Panele fotowoltaiczne na oczyszczalni ścieków w Pawłowie

Dożynki gminno-parafialne w Wólce Kańskiej

Agnieszka Herda

W niedzielę (21 sierpnia 2022 r.) odbyły się gminno - parafialne dożynki zlokalizowane w tym roku w sołectwie Wólka Kańska. Uroczystości rozpoczęła Msza Święta dziękczynna za zbiory w miejscowej Kaplicy Matki Bożej Łaskawej, podczas której zostały poświęcone wieńce dożynkowe, przyniesione przez następujące delegacje: Sołectwo Wólka Kańska, Sołectwo Wólka Kańska Kolonia, Sołectwo Liszno Kolonia, Sołectwo Kanie, Sołectwo Kanie – Stacja, Sołectwo Gołąb, Sołectwo Zalesie Kańskie, Sołectwo Krasne, Sołectwo Chojno Nowe Pierwsze, Zespół śpiewaczy Radość z Liszna, KGW Krzywowlanki z Krzywowoli oraz Parafię pw. św. Jana Chrzciciela w Pawłowie. Następnie uczestnicy uroczystości w korowodzie dożynkowym przeszli na plac przy wiejskiej świetlicy, gdzie odbyły się dalsze uroczystości. Okolicznościowe przemówienie wygłosił Zdzisław Krupa – Wójt Gminy Rejowiec Fabryczny oraz zaproszeni goście: Jerzy Kwiatkowski - Wicestarosta Chełmski oraz Andrzej Dzirba - Radny Powiatu Chełmskiego. Swoją obecnością w tym dniu zaszczytili nas również Tadeusz Górski – Burmistrz Miasta Rejowiec, podinsp. Bartłomiej Deszczka - Komendant Komisarjatu Policji w Rejowcu Fabrycznym, dyrektorzy szkół, właściciele firm, delegacje OSP, radni Gminy Rejowiec Fabryczny, sołtysi oraz rolnicy z terenu Gminy Rejowiec Fabryczny.

Honory Starostów Dożynek w tym roku pełnili Olga Kowalczyk z Leszczanki oraz Dominik Naróg z Wólki Kańskiej.

Zgodnie z tradycją starostowie przekazali chleb upieczony z tegorocznego ziarna włodarzom gminy: Wójtowi Zdzisławowi Krupie oraz Przewodniczącemu Rady Gminy Rejowiec Fabryczny Mirosławowi Maziarzowi, którzy następnie podzielili go sprawiedliwie wśród wszystkich zebranych. Chleb ten ma znaczenie symboliczne, aby nigdy nikomu go nie zabrakło.

Podczas uroczystości rozstrzygnięto trzy konkursy dożynkowe.

Na najpiękniejszy wieniec dożynkowy: I miejsce - Sołectwo Wólka Kańska Kolonia, II miejsce - Sołectwo Wólka Kańska, III miejsce - Sołectwo Liszno Kolonia.

Wyróżnienia otrzymali: Zespół śpiewaczy „Radość” z Liszna, Sołectwo Krasne oraz Sołectwo Zalesie Kańskie. Fundatorem nagród w konkursie była Gmina Rejowiec Fabryczny.

Na tradycyjny chleb dożynkowy: I miejsce - KGW „Gołębianki” z Gołębia (chleb wiejski w/g przepisu z babciniego kajetu), II miejsce - Aleksandra Naróg z Wólki Kańskiej (chleb pszenny z siemieniem lnianym), III miejsce - Renata Kubacka z Liszna (chleb pszenno – żytni na zakwasie).

Wyróżnienia otrzymali: Dorota Kapitan z Zalesia Kańskiego (rwany chleb czosnkowy z ziarnami) oraz Wiesław Pacan z Krasnego (chleb pszenno – żytni z ziarnami).

Cukierniczy - na „Słodki wypiek”: I miejsce - Jadwiga Prokopiuk z Krzywowoli (wiśniowa fantazja), II miejsce - Grzegorz Śliwczynski (sernik z chałwą), III miejsce - KGW „Gołębianki” z Gołębia (niebiański sernik).

Wyróżnienia otrzymali: Wanda Kowalik z Leszczanki (kokosowy placek z brzoskwiniami) oraz Agnieszka Naróg z Wólki Kańskiej (ciasto marchewkowe).

Dożynki swoimi występami uświetniły lokalne zespoły śpiewacze: „Seniorki” z Wólki Kańskiej, „Echo” z Gołębia wraz z Kapelą „Uroczysko” z Krasnegostawu, „Radość” z Liszna, „Pawłowianki” z Pawłowa oraz goście: Górnica Kapela Podwórkowa „Karbon” z Puchaczowa i Zespół „Unisono” z Rejowca Fabrycznego. Podczas Dożynek zaprezentowali się również uczestnicy zajęć z GOK w Pawłowie: grupa wokalna (Andżelika Filipczuk, Malwina Lachowska, Natalia Filipczuk, Amelia Raszyńska), grupa taneczna (Wiktor Wójtowicz, Maja Psuja, Amelia Kapitan,

Oliwia Kapitan, Jakub Kapitan, Zosia Umieniuk, Bianka Borysiuk, Magdalena Lachowska, Katarzyna Filipczuk, Karolina Filipczuk), gitarzysta – Kamil Gliński. Dożynki zakończyły się zabawą taneczną z zespołem „Konkret”.

Dla dzieci przygotowano bezpłatny park rozrywki, popcorn, watek cukrową, modelowanie balonów, malowanie buzi oraz animacje. Ze swoim stoiskiem promocyjnym zaprezentowali się przedstawiciele Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Chełmie oraz Fundacji Wsparcia Rozwoju Czystej Energii.

Organizatorami Dożynek byli: Gmina Rejowiec Fabryczny, Gminny Ośrodek Kultury im. R. Kapuścińskiego w Pawłowie, Parafia pw. św. Apostołów Piotra i Pawła i Matki Boskiej Różaniec w Kaniem, Rada Sołecka Wólki Kańskiej oraz KGW „Wólenianki” w Wólce Kańskiej.

Sponsorami wydarzenia byli: Gmina Rejowiec Fabryczny, Gminny Ośrodek Kultury im. R. Kapuścińskiego w Pawłowie, Tadeusz Uchański „Prace Ziemne i Transportowe”, Krystyna Tkaczyk Gospodarstwo Rolne, Katarzyna Tkaczyk, Izabela Soczyńska – Kozioł kwaciarnia „W te pędy” w Lisznie, Pref-Bet Wytwórnia Mas Bitumicznych, Betonów i Prefabrykatów w Pawłowie, Robert Czyżewski Centrum Hotelowo – Konferencyjne REGENT w Pawłowie, Stanisław Mazurek Usługi Transportowe Kanie, Bożena i Ryszard Świeca Usługi Transportowe, Chełmski Park Wodny.

Organizatorzy składają serdeczne podziękowania wszystkim zaangażowanym w organizację tego jakże ważnego i pięknego wydarzenia. Szczególnie podziękowania kierujemy do sponsorów za wsparcie finansowe oraz ufundowanie nagród w konkursach dożynkowych. Zaś wszystkich mieszkańców Gminy Rejowiec Fabryczny już dziś zapraszamy na dożynki, które w przyszłym roku odbędą się w miejscowości Kanie.

Rajd rowerowy „Tour de Lubelskie” Chełm

Agnieszka Herda

W sobotę 23 lipca 2022 r. w Pawłowie odbył się rajd rowerowy „Tour de Lubelskie” Chełm, będący zapowiedzią 79. Wyścigu Kolarskiego Tour de Pologne, którego trasa w II etapie przebiegała przez powiat chełmski. „Tour de Lubelskie” to wydarzenie zrealizowane już po raz drugi przez Gminny Ośrodek Kultury im. R. Kapuścińskiego w Pawłowie, które cieszyło się bardzo dużym zainteresowaniem wśród zwolenników dwóch kółek. Gościem specjalnym rajdu był Czesław Lang, polski kolarz torowy i szosowy, wicemistrz olimpijski, dwukrotny medalista szosowych mistrzostw świata, organizator Tour de Pologne oraz Dyrektor Generalny Lang Team.

W tym roku na trasę wyruszyło 160 rowerzystów, którym towarzyszyli: mistrz Czesław Lang, Zdzisław Szwed Członek Zarządu Województwa Lubelskiego, Jerzy Kwiatkowski Wicestarosta Chełmski oraz Andrzej Kosz Sekretarz Gminy Rejowiec Fabryczny. Uczestnicy mie-

li do pokonania dystans ok. 36 km, który zaczynał się i kończył w Pawłowie. Trasa prowadziła przez: Pawłów - Krzywowolę - Zyngierówkę - Bieniów - Henrysin - Podgórze - Janów (ul. Słowackiego - ul. Balladyny - ul. Mickiewicza - ul. Świtezianki) - Chełm ul. Lubelska (ścieżka rowerowa) - Amfiteatr Kumowa Dolina - powrót tą samą trasą do Pawłowa. Jako pierwszy na mecie zameldował się Dyrektor Czesław Lang, a za nim chwilę później Marszałek Zdzisław Szwed. Wśród wszystkich uczestników sportowej imprezy rozlosowano książki - biografię Czesława Langa, akcesoria rowerowe oraz rower.

Nad bezpieczeństwem uczestników wydarzenia czuwała OSP KSRG Kanie, Wólka Kańska oraz Pawłów. Poczęstunek przygotowały członkinie Koła Gospodyń Wiejskich w Gołębiu „Gołębianki” oraz KGW „Krzywowlanki” z Krzywowoli.

Dla dzieci zorganizowano bezpłatny park rozrywki, popcorn, watę cukrową

oraz animacje, które przeprowadziła Ewa Śliwińska.

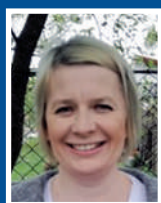
W części artystycznej wystąpili Zespół śpiewaczy „Radość” z Liszna, „Pawłowianki” z Pawłowa, „Remedium” z Białopola oraz „Kapela na 102” również z Białopola.

Rajd zorganizowano wspólnie z Powiatem Chełmskim, Gminą Rejowiec Fabryczny oraz Miastem Chełm. Współorganizatorami byli: Chełmski Dom Kultury, Chełmska Grupa Rowerowa, Chełmski Park Wodny oraz Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Chełmie.

Partnerem wydarzenia było Województwo Lubelskie „Lubelskie smakuje życie” oraz Tour de Pologne.

Patronatem honorowym wydarzenia objęli: Marszałek Województwa Lubelskiego Jarosław Stawiarski, Prezydent Miasta Chełm Jakub Banaszek oraz Starosta Chełmski Piotr Deniczczuk.

Patronat medialny sprawowali „Super Tydzień Chełmski” oraz Radio BONTON.



Z życia Szkoły Podstawowej im. Jana Kochanowskiego w Pawłowie

Magdalena Boruchalska

Uroczyste zakończenie roku szkolnego 2021/2022

24 czerwca 2022 r. roczna przygoda ze szkołą dobiegła końca. Nadeszły upragnione przez uczniów wakacje. Dyrektor **Dorota Jaszczuk** dokonała podsumowania roku szkolnego 2021/2022. Najlepsi uczniowie otrzymali świadectwa z wyróżnieniem. Uroczystość zakończyło przemówienie uczniów klasy VIII, którzy pożegnali się ze szkołą.

Tego dnia odbyło się również uroczyste przekazanie sztandaru. Uczniowie **Ewa Łuczko**, **Szymon Piskorz** i **Katarzyna Król** przekazali sztandar nowym reprezentantom poczty sztandarowego – **Zuzannie Wasilew**, **Roksanie Korchut** i **Kamilowi Glińskiemu**. Funkcja ta jest niezwykle zaszczytem, pełnią ją uczniowie osiągający bardzo dobre i dobre wyniki w nauce oraz wykazujący się godnym zachowaniem.

Oto najlepsi uczniowie Szkoły Podstawowej im. Jana Kochanowskiego w Pawłowie w roku szkolnym 2021/2022.

Klasa IV: Julian Ciechomski, Dawid Waryszak, Krystian Pikul, Sebastian Cebrat.

Klasa V: Malwina Lachowska, Wiktoria Waryszak, Olga Brzyszek, Szymon Szokaluk, Mikołaj Cudak, Antoni Żołnacz, Amelia Raszyńska, Natalia Filipczuk.

Klasa VI: Sandra Jajus.

Klasa VII: Oliwia Liśkiewicz, Patryk Filipczuk, Angelika Brodziak, Zuzanna Wasilew.

Klasa VIII: Ewa Łuczko, Szymon Piskorz, Katarzyna Król, Miłosz Sadowski, Emil Sadura, Julia Burszczan.

Szczególnie wyróżnienie – Tytuł Ucznia Roku i Bohatera Roku otrzymały: **Ewa Łuczko** (klasa VIII) i **Zuzanna Wasilew** (klasa VII).

50 lat Spółdzielni „Pawłowianka” (1935-1985)



Jerzy
Szymotiuk

cz. IV

Jak wynika z treści przesłanego sprawozdania, sytuacja garncarzy była bardzo trudna. Zarząd spółdzielni czynił wszystko by zmienić ją na lepszą.

13 stycznia 1938 r. przy poparciu Pawła Gutowskiego zarząd spółdzielni zwrócił się do Izby Rzemieślniczej w Lublinie z prośbą o umożliwienie nabycia kosztorysu i planu budowy zakładu do produkcji wyrobów garncarskich oraz nowoczesnego pieca garncarskiego.

Lubelska Izba Rzemieślnicza ustosunkowała się przychylnie do prośby zarządu. Pisma w powyższej sprawie przekazała do załatwienia Związkowi Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych RP w Lublinie, zrzeszającemu wszystkie spółdzielnie rolnicze i chałupników wiejskich. Okręgowy Związek w Lublinie zawiadomił, że w tej sprawie należy się zwrócić do inż. Kazimierza Chmielowskiego, zamieszkałego w Trzcianie koło Rzeszowa, specjalisty ceramika.

Zarząd spółdzielni otrzymał po wysłaniu zgłoszenia pozytywną odpowiedź. Inżynier Chmielowski określił warunki opracowania planu oraz sporządzenia kosztorysu, a mianowicie: zażądał 100 zł przy zamówieniu planu, 300 zł po wysłaniu planów oraz 100 zł opłaty na miejscu podczas budowy. Jednocześnie sporządził ekspertyzę dla Spółdzielni „Garncarz” w Pawłowie, przewidującą możliwości produkcyjne oraz przydatność dostępnego na miejscu surowca. Oto jej treść:

„Spółdzielnia ta wyrabia sposobem chałupniczym garnki i wazonki ze zwykłej gliny i wypala w piecach ziemnych, znanych jeszcze w epoce przedhistorycznej. Piece te zużywają o 200% więcej materiału opałowego (drzewa) niż do tego celu służą nowoczesne piece, z powodu ogromnego promieniowania. Oprócz tego w piecach tych psuje się do 20% towaru. Aby spółdzielnia mogła pracować ekonomicznie, trzeba by skoncentrować całą produkcję w jednym budynku, w pośrodku którego znajdowałby się piec do wypału. Wkoło pieca mogłoby się pomieścić od 12 do 15 warsztatów formiarskich, obok doły cementowe do macerowania gliny, dalej kierat (sznajder) do przerobu gliny, magazyn na narzędzia i towar gotowy. W warsztacie tym miałyby stałe zatrudnienie do 25 ludzi.

Dla orientacji załączam szkic obiektu. Koszt budowy projektowanej wytwórni wyniósłby od 4 do 5 tysięcy złotych, przy umiejętnym budowaniu sposobem gospodar-

czym i powinien się do jednego roku zamortyzować. Zrobiłem na miejscu także przegląd znajdujących się surowców. Okazało się, że na terenie Pawłowa znajduje się glina biała i potrzebne domieszki do fabrykacji garnków kamionkowych, kafla. Zrobiono kilka mieszanin (prób) z gliny białej i uformowano kilkanaście garnków, wysuszono i wypalono. Próby dały wynik dodatni i można już orzec, że spółdzielnia może wyrabiać także wyroby kamionkowe.

Na żądanie członków spółdzielni podaję wykaz potrzebnych chemikaliów do otrzymania zabarwień na garnkach glinianych, a to: do glazury ołowianej dodaje się od 3 do 4% następujące tlenki metali: na kolor niebieski – tlenek kobaltu, na kolor zielony – tlenek chromu i tlenek miedzi, na kolor czerwony – tlenek żelaza, na kolor czarny – 2 części braunsztynu i 1 część tlenku miedzi, a na kolor żółty – jedną część tlenku żelaza i pięć części kwasu antymonowego. Przez pomieszczenie pojedynczych glazur można dostać różne kolory. Pawłów dnia 11 marca 1938 r.”

W oparciu o przedłożony kosztorys i ekspertyzę zarząd spółdzielni rozpoczął starania o uzyskanie kredytów na budowę zakładu i pieca. Zgodnie z zaleceniem Lubelskiej Izby Rolniczej rozpoczęto starania o uzyskanie kredytów w Wojewódzkim Biurze Funduszu Pracy w Lublinie.

Na wniosek zarządu spółdzielni w sprawie pożyczki Wojewódzkie Biuro Funduszu Pracy w Lublinie pismem z dnia 15 marca 1938 r. wyraziło zgodę na udzielenie pożyczki w wysokości 1500 zł, pod warunkiem nadesłania odpowiednich dokumentów: 3 weksle, uchwały walnego zebrania w sprawie zaciągnięcia pożyczki itp. Od tej pory następuje stała wymiana korespondencji pomiędzy zarządem spółdzielni i Wojewódzkim Biurem Funduszu Pracy, odnośnie planów wykorzystania pożyczki, terminów rozpoczęcia budowy itp.

Sprawa ta nie była łatwa, gdyż jeszcze w dniu 12 maja 1938 r. Wojewódzkie Biuro Funduszu Pracy pismem skierowanym do Izby Rolniczej w Lublinie zwróciło się o wnioski na udzielenie dotacji następującej treści:

„Do Izby Rolniczej w Lublinie. W związku z pismem tamt. z dnia 26.IV.38 r. Nr 835/RI/38 Wojewódzkie Biuro powołując się na odbytą konferencję w dniu 10.V. r. b. prosi

o nadesłanie dla każdej spółdzielni oddzielnie wnioski na udzielenie dotacji z podaniem następujących danych:

- opis dotychczasowej działalności
- program prac
- przeznaczenie pożyczki (kosztorys)
- zaprojektowanie zabezpieczenia pożyczki
- terminy zwrotu pożyczki
- Jednocześnie do podania o pożyczkę należy dołączyć:
- statut spółdzielni
- wyciąg z rejestru handlowego
- wykaz imienny i adresy władz spółdzielni oraz liczbę członków
- bilans spółdzielni za ostatni okres.

Ponadto wojewódzkie biuro prosi o spowodowanie przedłożenia takich wniosków przez Związek Pszczelarzy w Lublinie i Spółdzielnię Wytwórczą „Garncarz” w Pawłowie.

Wojewódzkie biuro prosi o zaopiniowanie otrzymanych wniosków i nadesłanie do wojewódzkiego biura. Dyrektor Wojewódzkiego Biura /-/ L. Korgowol”.

Powyższe pismo ilustruje wymagania i trudności z jakimi trzeba było się borykać przy uzyskaniu dotacji-pożyczki i w porównaniu do obecnego okresu, gdy korzysta się z kredytów bankowych, - było wielkim ryzykiem dla zarządu i członków spółdzielni.

W międzyczasie zarząd spółdzielni czynił starania o uzyskanie terenów pod budowę zakładu. Pismem z dnia 21 kwietnia 1938 r. zwrócono się do Rady Gminnej w Pawłowie o przydzielenie gruntów pod budowę. Starania o grunt zakończyły się pomyślnie. Spółdzielnia otrzymała 2 hektary ziemi z parcelacji gruntów państwowych w uroczysku „Mogiłki” w Pawłowie. Kosztorys na budowę zakładu oraz pieca opracowany sposobem gospodarczym przez inż. ceramika Chmielowskiego opiewał na łączną kwotę 4237 zł. Przyznana pożyczka przez Wojewódzkie Biuro Funduszu Pracy w wysokości 1500 zł stanowiła 1/3 kosztów budowy. Dlatego też zarząd spółdzielni wystąpił z wnioskiem o zwiększenie i przyznanie dotacji w wysokości 5000 zł. Starania te nie zostały pozytywnie załatwione. Wojewódzkie Biuro Funduszu Pracy w Lublinie pismem z dnia 13 lipca 1938 r. powiadomiło zarząd spółdzielni o odmowie, uzasadniając ją następująco:

„W związku z podaniem spółdzielni z dnia 30 czerwca r. b. nadesłanym do Wojewódzkiego Biura za pośrednictwem Lubelskiej Izby Rolniczej Wojewódzkie Biuro zawiadamia, że dotacja na budowę pieca i warsztatu nie może być przyznana. Zarząd spółdzielni może ubiegać się o pożyczkę z Funduszu Pracy i w tym celu winien wnieść bezpośrednio do Wojewódzkiego Biura nowe podanie zgodnie z załącznikiem, uzupełnione danymi z podania spółdzielni z dnia 30 czerwca r. b. z opinią Zarządu Gminy Pawłów. Opinia ta konieczna jest ze względu na ustęp podania, traktujący o przyjęciu pieca, w wypadku likwidacji spółdzielni, przez gminę Pawłów, która w danym wypadku będzie gwarantem spłat ewentualnie zaciągniętej pożyczki przez spółdzielnię.

W podaniu należy również podać projekt zabezpieczenia pożyczki, terminy zwrotu i wysokość rat, stan majątkowy członków zarządu, a ponadto dołączyć do podania statut spółdzielni”.

Wobec tego, że Zarząd Gminy w Pawłowie nie mógł takiej gwarancji udzielić bez zezwolenia władz powiatowych, zarząd spółdzielni w lipcu 1938 r. zwrócił się do Wydziału Powiatowego w Chełmie o udzielenie gwarancji władz samorządowych, iż w razie likwidacji spółdzielni, pobudowany piec jak również budynki zostaną przejęte przez władze samorządowe, które przyjmą na siebie ewentualną spłatę pożyczki w powyższej wysokości.

Powiatowy Związek Samorządowy w Chełmie po otrzymaniu od zarządu spółdzielni szczegółowych danych dotyczących stanu organizacyjnego i finansowego spółdzielni, oraz dzięki poparciu w tej sprawie przez Pawła Gutowskiego, gwarancję taką wydał i pożyczka została wypłacona spółdzielni.

Przed wypłatą zarząd spółdzielni musiał złożyć szczegółowe dane odnośnie stanu finansowego i organizacyjnego na koniec lipca 1938 r. oraz program działania (przekazany do Wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy w Lublinie), który przedstawiał się następująco:

Spółdzielnia została założona 22 sierpnia 1937 roku i poczyniła starania o zarejestrowanie przez Sąd Okręgowy w Lublinie, który dokonał rejestracji w dniu 20 kwietnia 1938 roku pod nr 1058. Spółdzielnia mając na celu iść z pomocą materialną swym członkom, dostarcza im potrzebny materiał po cenach najniższych, aby uniknąć pośredników. W tym celu zakupiono w Leśnictwie Pawłów 150 m³ drzewa na wypalanie garnków, 380 kg glejt na szklenie garnków, a dla udogodnienia wypalania garnków przez członków spółdzielni, wydzierżawiono piec na okres jednego roku.

W programie prac spółdzielni jest w pierwszym rzędzie utworzenie wspólnego warsztatu pracy, w którym ma się znajdować nowoczesny piec. W warsztacie mogłoby znaleźć stałe zatrudnienie około 30 członków spółdzielni. Koszt budowy pieca wraz z warsztatem pracy wyniesie nie 3737 zł jak wykazał w kosztorysie inż. ceramik Chmielowski, a około 5000 zł plus 500 zł za sporządzone plany pieca i warsztatu, gdyż podane w kosztorysie ceny na potrzebny materiał do budowy są za niskie i nie odpowiadają miejscowym cenom rynkowym.

W związku z programem prac dotychczas wykonano:

- za wykonane plany wypłacono inż. Chmielowskiemu 250 zł,
- zakupiono w Leśnictwie Pawłów 27 m³ budulca,
- zadatkowano potrzebną ilość cegły według kosztorysu i na poczet należności wypłacono 300 zł cegielni Jana Małysza w Pawłowie,
- wypłacono 30 zł za zwiezenie wykupionego drzewa na budowę,
- wyjednano plac z parcelacji Państwowego Majątku w Pawłowie o powierzchni 2 ha ziemi pod budowę, który to plac przez geometrę został spółdzielni już wydzielony,

- ponadto spółdzielnia po ukończeniu przetarcia zakupionego drzewa przystąpi do rozpoczęcia budowy warsztatu pracy.

Zarząd spółdzielni stanowią: prezes Wacław Adamczewski posiadający dom własny, z zawodu garncarz; skarbnik Teofil Ciechomski, który posiada wspólnie z żoną dom mieszkalny i około 5-ciu mórg gruntu i sekretarz Mikołaj Symotiuik, który wspólnie z żoną posiada około 2 mórg gruntu – wszyscy z zawodu garncarze zamieszkali w osadzie i gminie Pawłów.

Stan członków na dzień dzisiejszy wynosi 31 osób.

Bilans spółdzielni za ostatni okres na dzień 26 lipca 1938 r. wynosi: po stronie wpływów 6286 zł 51 groszy, po stronie wydatków 5955 zł 76 groszy.

Przy poparciu miejscowego Zarządu Gminnego użytko z Wydziału Powiatowego w Chełmie 500 zł na założenie „Bezprocentowej Kasy” dla niezamożnych rzemieślników, która to suma została rozprowadzona pomiędzy najbiedniejszych garncarzy.

Donosząc o powyższym zwracamy się z uprzejmą prośbą o udzielenie nam pożyczki w sumie 5000 zł (pięciu tysięcy złotych), którą to w całości użyjemy na budowę pieca i warsztatu pracy.

Splątę pożyczki prosimy o rozłożenie nam na okres 5-ciu lat, poczynając od roku 1940, w dwóch ratach rocznie, po 500 zł, bez doliczania w powyższym okresie odsetek. Na zabezpieczenie pożyczki i na wypadek likwidacji spółdzielni jako gwarancję z naszej strony, skłonni jesteśmy zabezpieczyć 2 ha nabytej ziemi z parcelacji oraz załączamy pisemną gwarancję na powyższą pożyczkę Wydziału Powiatowego w Chełmie, która w danym wypadku będzie gwarantem spłaty zaciągniętej przez spółdzielnię pożyczki”.

Dane powyższe obrazują całość działalności spółdzielni i jej zarządu w roku 1938, który nie obawiał się zaciągnąć pożyczki, nawet gwarancją swego majątku, co było w tym okresie wymagane. W tym czasie niektórzy członkowie: Jan Kopciwicz i Piotr Klin złożyli podania o skreślenie ich z listy członków i zwrot udziałów. Była to niewątpliwie robota pośredników, którzy sieli postrach wśród członków, że zlicytują im majątek na pokrycie pożyczki. Większość jednak pozostała, a na miejsce odchodzących przyszli nowi.

Od miesiąca sierpnia rozpoczął się okres intensywnej pracy przy wznoszeniu budynku i budowie pieca.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Radomiu za pośrednictwem Leśnictwa Pawłów przysłała z pomocą w budowie, przydzielając budżet wartości 300 zł. Ponadto Leśnictwo Pawłów, dzięki postawie społecznej leśniczego inż. Krzyszowskiego, w miarę posiadania na stanie sosnowego drzewa opałowego w pierwszej kolejności sprzedawało je spółdzielni, co było bardzo pomocne w cementowaniu członków i zainteresowaniu ich działalnością spółdzielni.

Dużo pracy zarząd spółdzielni poświęcił sprawie zebrania ofert na dostawę wyrobów garncarskich oraz chętnych na ich sprzedaż detaliczną. W pierwszym rzędzie zwrócono się do Urzędów Miejskich w Lublinie, Zamościu, Chełmie, Hrubieszowie i Krasnymstawie o przydzielenie lokali na sklepy z wyroba-

mi garncarskimi. Z kolei na sprzedawców zgłosiło się dużo chętnych, składając w miesiącu marcu 1938 r. podania w tej sprawie. I tak: Teofil Ciechomski zadeklarował chęć prowadzenia sprzedaży w Krasnymstawie, Dominik Adamczewski w Zamościu, Mieczysław Kasperski w Chełmie, Aleksander Marczuk oraz Józef Nakielski w Lublinie, Bolesław Zduńczuk w Hrubieszowie oraz Stanisław Kowalski w dowolnej miejscowości.

Ponadto zwrócono się z prośbą do urzędów miejskich wspomnianych miast o nadesłanie adresów ogrodników, celem przesłania im ofert na dostawę doniczek. Adresy takie między innymi nadesłał Urząd Miejski w Zamościu. Wkrótce zaczęły napływać większe zamówienia na wykonanie naczyń do zbierania żywicy z drzew. 23 lutego 1938 r. otrzymaliśmy zamówienie na wykonanie 20 tysięcy sztuk garnuszków (po 7 groszy za sztukę) z Nadleśnictwa Dóbr Międzyrzec należących do Andrzeja Potockiego. Dyrekcja Lasów Państwowych w Warszawie podległych Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych złożyła zamówienie na wykonanie dużej ilości doniczek do żywicowania. Zamówienia te ze względu na okres organizacyjny i z przyczyn finansowych nie zostały zrealizowane. Zamawiający stawiali duże wymagania odnośnie wyrobów ceramicznych, którym nie mogliśmy sprostać.

W miesiącu maju 1938 r. Zarząd Spółdzielni Przemysłu Ludowego w Lublinie zwrócił się z prośbą o nadesłanie cennika produkowanych w naszej spółdzielni wyrobów ceramicznych, przeznaczonych do sprzedaży detalicznej. Taka wycena została przygotowana przez zarząd spółdzielni i wysłana do Lublina. Poniżej przytaczam cennik polewanych wyrobów garncarskich produkowanych w Pawłowie:

Garnki, słoje i dzbanki o pojemności 8-10 litrów – 80 groszy za sztukę
 j. w. o pojemności 4-5 litrów – 45 groszy
 j. w. o pojemności 2-3 litry – 30 groszy
 j. w. o pojemności 1 litra – 15 groszy
 j. w. o pojemności pół litra – 7 groszy
 Wazonki czyli doniczki polewane o rozmiarze (wysokości) do 40 cm – 80 groszy
 j. w. do 25 cm – 35 groszy
 j. w. do 15 cm – 20 groszy
 j. w. do 10 cm – 15 groszy
 j. w. do 5 cm – 5 groszy
 Podstawki pod doniczki o średnicy do 20 cm – 20 groszy
 j. w. do 10 cm – 10 groszy
 Miski ozdobne polewane o średnicy do 25 cm – 25 groszy
 j. w. o średnicy do 20 cm – 15 groszy
 j. w. o średnicy do 16 cm – 10 groszy
 Urny ozdobne polewane według zamówienia do 5 złotych
 Bukietniki ozdobne polewane o wysokości do 35 cm – 2,5 złotego za jedną parę
 j. w. o wysokości 10 – 20- cm – 80 groszy za jedną parę

Ceny wyrobów koloru czerwonego i siwego były o 40% niższe, gdyż nie wymagały dwukrotnego wypału oraz używania gleyty i farb na polewanie wyrobów.

Ceny wyrobów wahały się i były uzależnione od sezonu, popytu na nie oraz ich jakości.



Lucyna Lipińska

Moje reminiscencje.

Część XII

Pierwszego września 1950 roku udałam się na uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego w Liceum Pedagogicznym w Chełmie na ulicy Dzierżyńskiego – później Reformackiej, a obecnie Popiełuszki.

Po krótkich rutynowych informacjach na prostokątnym placu, uczniowie przeszli do klas oznakowanych tabliczkami, które znajdowały się w starym poklasztorzym budynku. Interesowała mnie tabliczka z napisem klasa III b. Nieśmiało uchyliłam drzwi i weszłam do obszernej sali, zajmując pierwsze wolne miejsce z brzegu. Za chwilę tłumnie zapełniali pomieszczenie roześmiani, zżyci ze sobą koledzy. Wśród nich był szczupły blondyn z kolonii – duży Rysiek z niedbale przewieszoną przez ramię torbą. Z niedowierzaniem spoglądałam w górę nie wierząc własnym oczom, czy to mój wychowawca, czy ktoś ładząco do niego podobny. Jednak chłopak uśmiechnął się z zażenowaniem i krzyknął:

– O, kogo ja widzę! Cześć Lucynko! Będziemy chodzić do jednej klasy.

– Cieszę się z tego, czy mam ci dalej mówić pan?

Przez cały czas pobytu w szkole czułam przed Ryśkiem pewien respekt, zmieszany z wdzięcznością za uratowanie życia. I tak już pozostało na zawsze.

Wraz ze zmianą miejsca pobytu zmieniło się diametralnie moje życie, które trzeba było układać od nowa. Koleżeńskie przyjaźnie, życzliwość nauczycieli, zapal do nauki, pewność siebie, zostawiłam za sobą. W klasie czułam się nieswojo, stałam raczej na uboczu. Przystawienie się na nowe metody nauczania, obcy nauczyciele, usiłowanie wypracowania pozycji w klasie, konieczność wyrównania różnic programowych, wynikających ze zmiany profilu szkoły – to wystar-

czająco dużo, by podłamać niespełna piętnastoletnią dziewczynę.

Stancja pod żadnym względem nie dorównywała warunkom panującym w domu pani Lachowej. W nowym miejscu było głodno i chłodno. Tęskniłam za ciepłym głosem dawnej gospodyni. Wspominając z rozrzewnieniem tę dobrą kobietę, podarowałam jej na stałe malutki skrawek miejsca w swoim sercu.

Kandydatka na nauczycielkę zdobywała ukierunkowaną wiedzę od specjalistów o zróżnicowanym poziomie emocjonalnym, którzy zależnie od stopnia złośliwości, pozwalali sobie często na upokarzanie uczniów.

W początkowym okresie nauki z powagą godną przyszłej nauczycielki wysłuchiwałam uczonych wykładów, później w miarę poznawania ich niektórych autorów, nabierałam pewnych uprzedzeń.

Szczególną przyjemność z drwin kierowanych do młodzieży czerpała polonistka. Być może przyczyn należałoby szukać w jej staropanieństwie, które tworzy określony stereotyp zachowań. Śmiejąc się szeroko i rubasznie do chłopców, dokuczała dziewczynom, wytykała im brak szyku, obycia i gustu. Przepowiadała z sarkazmem: „Skończysz szkołę, będziesz nauczycielką w Kukawce, kupisz sobie pelisę, zrobisz ondulację i wyjdiesz za mąż za sklepikarza”.

Chociaż słowa te były rzucane w przestrzeń, nabierałam dystansu do polonistki. Zaczęłam więc powierzchownie odrabiać lekcje, a z lektur obowiązkowych przez cały rok przeczytałam tylko książkę Newerlego „Na przykład Plewa”, którą miałam zreferować w szkole.

Nauczycielka matematyki o tyczkowatej sylwetce i twarzy Sfinksa, na

której nie malowały się żadne uczucia, była zaprzeczeniem pedagoga i metodyka. Wprowadzając nowy temat, odwrócona tyłem do uczniów, wypisywała na tablicy z góry na dół wzory matematyczne. Gdy zabrakło miejsca, stwierdzała arbitralnie: „Przyjmujemy, że umiemy” i ścierała dokładnie tablicę.

Wychowawca klasy – pedagog pan Kluziak, mężczyzna o łagodnym usposobieniu, był człowiekiem wchodzącym w wiek emerytalny, o czym świadczyły między innymi krzaczaste, bardzo długie brwi. Przejęty obowiązkami wychowawcy często odwiedzał uczniów w domu w najmniej oczekiwanym momencie.

Za to wiele sympatii wzbudzał pan Bolesław Wirski – zapalony nauczyciel wychowania fizycznego. Człowiek ten, może jako jedyny w całym gronie, uczył przyszłych pedagogów nie mową, ale postawą, był wzorem godnym naśladowania, przykładem, który porwał i mobilizował. Kochał swoją pracę i młodzież, strzegł jej przed niepowodzeniami, chronił przed krzywdą. Narzązał się często kolegom z grona, ostrzegając wychowanków przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Uczył tańców towarzyskich z gracją i elegancją, demonstrował takt i kulturę w stosunku do kobiet, gdy w ukłonie z uśmiechem składał pocałunki na dłoniach uczennic po zakończeniu poloneza.

Sztywny skłony chłopaków przed dziewczętami wzbudzały szczery śmiech profesora, który udzielał życzliwie instrukcji: „Nie maszeruj jak na defiladzie, rozluźnij się, kłaniaj się z gracją, płynnie, rozchmurz oblicze, ujmuj delikatnie paluszki partnerki, patrz w oczy dziewczynie, uśmiechaj się”. Wpajał więc – ten w każdym calu dżentelmen – właściwe maniery, uczył

chłopców szacunku do dziewcząt, mówił im, iż tyle będą warci, na ile potrafią być dżentelmenami. Jaka szkoda, że we współczesnych szkołach niewiele jest profesorów Wirskich, dzięki którym piękny świat mógłby istnieć dłużej.

Młodzież odwzajemniała się wspinałemu profesorowi życzliwością, szczerością i wielkim szacunkiem. Być może, że to właśnie jego wdzięczni wychowankowie, zajmujący aktualnie wysokie stanowiska we władzach miejskich, w dowód pamięci nazwali jego imieniem największą Szkołę Podstawową nr 8 w Chełmie oraz jedną z ulic Osiedla Słonecznego. I słusznie. Oddając hołd wspinałemu człowiekowi same cisną się na usta słowa: „Cześć Jego pamięci”.

Po wakacjach byłam już uczennicą klasy maturalnej. Na stacji u starej panny Walerii dzieliłam piętnastometrowy pokoik z trzema koleżankami. Jedna z nich – Marysia – była bliską mi koleżanką. Ta sympatyczna dziewczyna o bardzo skręconych włosach i niebieskich oczach kontynuowała naukę w „handłównie”. Łączyła nas przyjaźń aż do końca życia Marysi, która zmarła po wyjściu za mąż i przedwczesnym urodzeniu dziecka. Już w szkole średniej zwierzała się, że jest chora na gruźlicę. Tak było istotnie. Za jej trumną szedł złamany nieszczęściem młody małżonek, który miał już za sobą śmierć żony i dziecka. Nad płytą grobowca szeptał ze łzami: „Zazdroszczę ci gładzie kamiennego serca”.

Na stacji dzieliłam swoje wąskie łóżko z kuzynką – sierotą, która w szkole krawieckiej próbowała wyuczyć się zawodu. Jednak jej zapał był zbyt słaby, nie miała do tego specjalnego zacięcia. Wróciła więc do Pawłowa do babci Rozalii, która większość czasu spędzała w łóżku obezwładniona reumatyzmem. Wszechobecna bieda zmuszała sierotę do szukania jakiegokolwiek pracy. Akurat trwała budowa nowej cementowni. Wydeptała więc ścieżkę do drewnianego biurowca, zanim została przyjęta do pracy w hotelach robotniczych.

Jeszcze niepełnoletnia dziewczyna, dumna ze swojej dorosłości, pokonywała codzienną drogę z Pawłowa do Rejowca, by zarobić na wyżywienie.

Gorzej było z ubraniem. Szczególnie zimą, smagana wiatrem i śniegiem wracała do domu skostniała z zimna. Nawet latem jej ręce i nogi miały sinawe zabarwienie. Co prawda odziedziczyła po matce oficerki i płaszcz podbity futerkiem, lecz nie starczyły one na długo.

Niewiele miała dziewczyna powodów do radości, toteż gdy po raz pierwszy spotkała się ze szczerym zainteresowaniem chłopca, przyjęła to z entuzjazmem. Marcin o kilka lat starszy, odwiedzał sympatię dość często. Poważny, jak na swój wiek chłopiec, obdarzał ją obcą dla niej troską i dobrocią.

Nic dziwnego, że żadna uczuć sierota szczerze go pokochała. Szczęście dwojga młodych młode było niechęcią matki chłopaka do biednej wybranki.

Ukrywał on wizyty u dziewczyny przed matką, która nie przebierała w środkach, by ich rozłączyć. Gdy matka zatrzaśniała mu drzwi, często spędzał noce w stodole. Nie przeczuwała, że zmarnuje życie własnemu synowi.

Marcin nie przestał kochać sieroty, chociaż nigdy młodzi nie zostali razem. Przrzekł, że ożeni się z pierwszą napotkaną dziewczyną, niekoniecznie lepszą od tej, której matka nie akceptowała. Tak też uczynił.

Wrażliwy i delikatny mężczyzna szukał okazji do spotkań z ukochaną osobą z młodości, odwiedzał ją nawet już jako mężatkę i matkę dwóch córek.

Po ciężkim wypadku motocyklowym podupadł na zdrowiu. Zmarł przedwcześnie zabierając do grobu głęboką miłość, której zabroniono mu przeżyć na ziemi.

Jakże często w trosce o dobro dzieci matki popełniają nieodwracalne błędy, łamiąc życie tym, dla których pragną największego szczęścia. Okazuje się bowiem, że uczuciami nie można manipulować. To jedyna strona życia, która nie znosi interwencji.

Niezajęte jeszcze wtedy swojego przeznaczenia dziewczyny w pokoiku u Walerii spędzały czas na nauce, gotowaniu, sprzątanii i tworzeniu z byle czego wieczorowych kreacji na szkolne zabawy taneczne. Najwięcej talentu do tej ostatniej czynności skupiło się we

mnie, dlatego najczęściej opuszczałam lekcje w soboty, by zająć się doprowadzeniem do użyteczności strojów dla siebie i koleżanek.

W jedną z wielu sobót przyszywałam ręcznie koronkę do żabocika białej bluzeczki. Wszystkie wolne miejsca na łózkach, stole i krzeselkach zajęte były przez starannie wyprasowane spodniczki i zwiewną, rozkloszowaną sukienkę, którą miałam założyć na wieczorek taneczny. Gdy przypadkowo uniosłam oczy w stronę okna, ujrzałam pochyloną głowę wychowawcy. Kroczył on w stronę drzwi mieszkania Walerii. Intencje odwiedzin stacji uczennicy nie budziły wątpliwości. Bez namysłu zwinęłam z pola widzenia wszystkie stroje i rzuciłam jak najgłębiej pod łóżko. Sama, z owiniętą głową w pierwszą napotkaną szmatkę i z ogryzkiem jabłka w ustach, powitałam w drzwiach swojego profesora.

– Dzień dobry, proszę niech pan wejdzie – wybelkotałam.

– Co ci jest, dlaczego nie jesteś w szkole?

– Bola mnie straszliwie zęby.

– Trzeba iść do dentysty.

– Byłam, nie wolno usuwać przy opuchliznie, mam leki, leżę w łóżku, może mi przejdzie do poniedziałku – paplałam nerwowo.

– Przy okazji zobaczę, jak mieszkaś.

Odsunęłam ciężką, ciemną zasłonę oddzielającą przedpokój od kuchni bez okna. Przy zapalonym świetle ukazała się mała kuchenka, tzw. westfalka. Przy ścianie przyczepiony był jednokomorowy, odrapany zlew wypełniony brudnymi naczyniami.

– Gdzie się myjesz? – zapytał wychowawca.

– Tutaj, w miednicy – wskazałam ręką na dużą miednicę w drucianym stojaku.

– Łazienki nie macie?

– Nie, ale jest ubikacja za tymi drzwiami.

Rzeczywiście była tam muszla klozetowa w pomieszczeniu metrowej długości i takiej samej szerokości.

– Mieszkacie tutaj we trzy, życie w zgodzie, jak się żywiecie?

– Korzystamy z kuchenki elektrycznej, ja na obiady chodzę do baru.

Sieroca dola

CZ. IV



Maria Rejman

Wiosenne słońce łagodnie rozświetla izbę domu na chełmskich Bazylianach, muskając swymi promieniami policzki budzącej się 18-letniej Antosi. Ach, trwać tak i nie musieć wstawać, nie spłoszyć spokoju serca, który podarowała jej majowa noc. Rzeczywistość upomina się jednak o swoje. Czas przynieść wodę ze studni, stojącej na ulicy niedaleko domu, rozpaść w kuchni ogień, ugotować bratu kaszkę, zaraz się maluszek zbudzi i będzie głodny. Macocha Aurelia jest już w sklepie, który prowadzi razem ze swym drugim mężem, więc nie ma wyjścia. Dziewczyna przełamuje wewnętrzny opór, wstaje i wychodzi z wiadrem na dwór. Po drugiej stronie ulicy roztacza się widok, głęboko przytłaczający jej wrażliwą naturę. Koczaste podwójne druty ciągnące się wzdłuż drogi oddzielają dwa światy: okupowany Chełm i jeniecki obóz Stalag 319. Dziś w nocy znowu jakiś więzień nie wytrzymał nieludzkich warunków i zdesperowany rzucił się do ucieczki w nadziei sforsowania koczastego płotu. Jak zawsze czujny żołnierz Wehrmachtu posłał mu kulę w plecy, gdy mężczyzna był u szczytu ogrodzenia. Jego zakrwawione ciało z rozkrzyżowanymi ramionami wisi teraz na drutach, przypominając jeńcom co ich czeka przy próbie ucieczki. Dla Antosi ten powtarzający się niemal codziennie widok jest wyjątkowo trudny do zniesienia. Fizyczny wprost ból rozdziera jej duszę, ale musi wytrzymać natłok przerażających wrażeń, w domu czeka przecież jej roczny patchworkowy braciszek, którego dziewczyna kocha jak własnego synka. Przechodzi, nie patrząc już na zwłoki mężczyzny, szybko kręci korbą, spuszczając w głębinę studni pusty cebrzyk, potem równie szybko już napełniony po brzegi wodą wyciąga ze studziennej czeluści i kieruje się w stronę domu. Choć z całego serca pragnie

pomóc każdej wyciągniętej do niej dłoni, musi być nieczuła na rozpaczliwe gesty i prośby jeńców, skrajnie wygłodzonych i spragnionych kropli wody w długie bezdeszczowe dni. Karmienie więźniów jest surowo karane, a głodzenie jest jedną z metod ich wyniszczania. Na olbrzymim placu naprzeciwko chałupy, w której mieszka teraz Tosia ze swą macochą, jej drugim mężem Wojciechem i Antosiem - ich synkiem, rozciąga się jeden z 3 chełmskich podobozów, wchodzących w skład Stalagu 319. Funkcjonujący w latach 1941 - 1944 obiekt jest miejscem eksterminacji przede wszystkim jeńców radzieckich. Więźni są tu jednak również Polacy, Włosi, Brytyjczycy, Romowie i Belgowie. Stłoczeni na wielohektarowym terenie nie mają nic, oprócz skrawka ziemi pod stopami, żaru z nieba w upalne letnie dni, zimnego deszczu w jesienne słońce i przenikliwego mrozu zimą. Dostają głodowe porcje żywieniowe. Jeśli ubranie, w którym zostali aresztowani zniszczy się, nikt nie da im drugiego. Świadomość, że za płotem tysiące osób znosi niewymownie cierpienie, a ludzie obok nic nie mogą na to poradzić, buduje w dziewczynie stan permanentnej frustracji, nieustannie wyzerającej w jej psychice zdrową tkankę i zmusza do oswojania się ze złem, tak obcym jej naturze. Nie może jednak podążać za głosem serca. Wie, czym to grozi. Obraz, którego kiedyś była świadkiem, jest ciągle żywy w jej pamięci. Oto drogą przy obozowym ogrodzeniu idzie kobieta z kilkuletnią dziewczynką. Córeczka trzyma jabłko. Wtem kilkunastu więźniów rozpaczliwie wyciąga w kierunku dziewczynki ręce, błagając o owoc. Ta w dziecięcym odruchu rzuca go w kierunku żebrzących. Zauważyła to jeden ze strażników i natychmiast zatrzymuje obydwie, zamykając je za bramą lagrów. Nieszczęsne dzielą los tych, którym pospieszyły z pomocą. O tym, jak straszli-

wie wygłodniali byli więźniowie, świadczy jeszcze jedna scena, którą Tosia często wspomina: Pewnego razu kolumna jeńców pod niemiecką eskortą idzie drogą w kierunku lasu. Z naprzeciwka nadjeżdża chłop furmanką, załadowaną burakami. Nagle mężczyźni rzucają się na buraki, nie zważając na krzyki i razy Niemców. W mgnieniu oka opróżniają zawartość wozu, natychmiast zjadając zabrudzone ziemią surowe płody rolne.

Koszmarne warunki obozowe powodują każdego dnia śmierć setek więźniów. Wstrząsającym widokiem są dla Tosi mijające jej posesję wozy, załadowane po brzegi ciałami zmarłych, nieprzytomnych lub umierających jeńców. Niemcy wiozą ich do Borku. Tam zrzucają wszystkich do wykopanych dołów, zasypują ziemią, nie przejmując się tym, że niektórych grzebią żywcem!

Tosia musi uczyć się też oswojania z masową eksterminacją Żydów. Niemal codziennie jest świadkiem ich marszu śmierci do wspomnianego Borku. Ulicą obok jej domu idą kolumny, złożone z kilkudziesięciu wyznawców judaizmu, których eskortuje tylko 2 żołnierzy Wehrmachtu. Skazańcy zachowują się nad wyraz spokojnie, choć wiedzą, co ich czeka. W lesie wykopane są już doły, w których każdy z nich za chwilę zakończy swą ziemską wędrówkę. Wyglądają na pogodzonych ze swym losem, co budzi zdumienie i wewnętrzny protest młodej Tosi. A gdyby tak w pewnym momencie wszyscy rzucili się na strażników, to nawet jeśli zginęłaby jedna połowa, to druga uratowałaby się - snuje refleksje dziewczyna - a tak zginą wszyscy w ciszy i pokorze, często w męczarniach, bo nie każdego trafi kula. Niektórzy wpadną do dołu z zasłabnięcia, inni zmiecieni siłą odrzutu, a kiedy odzyskają przytomność, spróbują jeszcze rozpaczliwie wydostać się spod martwych ciał. Nazajutrz ludzie z sąsiedztwa powiedzą, że ziemia na świeżych mogiłach poruszała się.

Garnki Rodu Kwiatkowskich

Cz. 2

Tadeusz Boniecki

„Po kilku latach spółdzielnia garncarska w Pawłowie połączyła się z bednarską. Prywatna inicjatywa przestała ich interesować. Rychło okazało się, że najczęściej na głupim zakazie straciła gmina, do której nie wpływały od nas podatki.

Oj, wiele było problemów w latach sześćdziesiątych. Młodzi nie zdają sobie nawet sprawy z tego, jak ciężko było wtedy być garncarzem. To nie to co dzisiaj. Jak mówiłem, moje siwaki przez piętnaście lat sprzedawałem w kiosku przy ulicy Pocztowej w Lublinie. Handlować mogłem jednak tylko przez trzy dni w tygodniu. Takie miałem uprawnienia na kartę rzemieślniczą i podatkową. Złamanie tego zakazu groziło dużymi karami finansowymi. Przez cały czas w epoce gomułkowskiej i tak miałem problemy z wydziałem finansowym. Przychodzili „na kontrol”. Szczególnie gnębili rzemieślników, czepiając się byle czego. W tamtych czasach miałem kilku chętnych, co chcieli uczyć się na garncarzy. Po tym jak przyjechało do mnie dwóch urzędników z tego wydziału „na kontrol”, przestraszyli się i zrezygnowali. Zobaczyli po prostu jak władza traktuje rzemiosło.

Jednym z tych kontrolerów był sam kierownik wymiarowy Sapała. Szukali na gorze domu i w piwnicy tak, żeby domiar zrobić jak największy. Ten kierownik zrobił mi wtedy zajęcie majątku. Uciekłem z synem i meblami z domu. Na drzwiach kuchennych wisiała marynarka. To wsadził do niej swoją rękę i wyjął trochę pieniędzy. Nawet tam szukał ukrytego majątku! Gdy wyjmował te pieniądze, rozżalona żona ze łzami w oczach powiedziała:

- Na chleb te parę złotych mam i to zabieracie? Za jakieś dziesięć lat po tym zdarzeniu jeden z ówczesnych urzęd-

ników przyjechał znowu „na kontrol”. Chciał, abym mu sprezentował siwaka. A ja mu na to odpowiedziałem.

- Pamięta pan, jak łapę w kieszeń wsadzał i ostatni grosz, co był na chleb, zabrał? On tak się speszył. Nie wiedział co mi odpowiedzieć. Zapomniał już o tym. A ja zawsze będę pamiętał, jak nas ówczesna władza ludowa traktowała.

Opowiem panu o takim jednym. Nazywał się Winiarski. Któregoś pięknego dnia, przyszedł do mnie także „na kontrol”. Ale był tak jakoś nędznie ubrany. Teczka jakaś nie bardzo, wykonana ze starej, dotkniętej zębem czasu świńskiej skóry. Wcale nie przypominał z wyglądu urzędnika finansowego. Usiadł w moim warsztacie i przyglądał się jak robię. A on już, wie pan co, patrzył ile ja garnków za pół, czy też godzinę zrobię. Ciągłe siedząc obserwował i nic nie mówił. Pomyślałem sobie, jakiś on taki podejrzany, cholera. Panie, zamiast robić jeden garnek w dziesięć minut, to robiłem w tym momencie w pół godziny. Jak bym przeczuwał czym to przyjezdne „ziółko z teczką” pachnie. Wreszcie zgłodniał, więc wyjął z teczki kawałek chleba ze smalcem i zaczął jeść. W tym momencie zapytałem się grzecznie: - Może panu mleka dać? - Nie, bom ja „na kontrol” przyjechał. Dopiero na koniec przyznał się, po co przyjechał. Uważał, że ja go chcę mlekiem „kupić”. Jakbym wódkę zaproponował, może by się zgodził, ale mleko? W taki sposób przechrztyłem kontrolę finansową – wspomina gorzko rzemieślnik.

„Jeszcze w latach siedemdziesiątych, właśnie przez taką politykę zastraszania częstymi kontrolami oraz czepiania się wszystkiego co prywatne, władze chciały zniszczyć rzemiosło w Polsce. Ja się nie dałem zgnać, ani zniechęcić. Nie zmusili mnie do rozstania się z ukochanym

zawodem garncarza. Byłem twardy jak kamień. W szczególnie trudnych chwilach, mnie i żonę podtrzymywała na duchu pamięć o wielowiekowych tradycjach garncarskich mojego rodu w Pawłowie.

Ten, kto podobnie jak ja nie dał się zastraszyć władzy, pozostał w zawodzie garncarza. Później mógł sprzedawać swoje wyroby w całym kraju za pośrednictwem „Cepelii”. Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego okazała zainteresowanie pawłowskimi wyrobami. Dzięki temu miejscowi garncarze mieli regularny zbytny na siwaki. Opowiadał mi jeden kierowca, który woził nasze produkty do „Cepelii” w Warszawie, że jak przejeżdżał, to ludzie już się po nie w kolejce ustawiali. Taki był popyt na nasze wyroby, szczególnie te dekoracyjne.

Ja zawsze miałem prosię pana, więcej kupców niż towarów. Bo chodzi o to, że garncarz na swoją renomę musi pracować przez wiele lat. Kupcy nie lubili kręactwa. Zdarzali się i tacy garncarze, którzy brali od nich parę złotych na konto. Później nie wywiązywali się z umowy. Miałem odbiorców w różnych miejscowościach, m.in. w Zamościu i Lublinie. Gdy ktoś chciał kupić ceramikę, a był na przykład ze Szczecbrzeszyna, to ten z Zamościa mówił do niego – jedź do Kwiatkowskiego.

Inaczej było z młodymi adeptami garncarstwa. Kupcy nie mieli do nich zbyt dużego zaufania. On mógł i ze trzydziści lat robić ceramikę, ale miał złą opinię i nie chcieli od niego kupować. Uchodził za niesolidnego, bo na przykład nie wywiązał się w terminie z kontraktów. Wtedy i „Cepelia” od niego nie kupiła.

Pewnego razu zawiozłem do Szczecbrzeszyna – w zamojskie – ze dwie fury garnków, było tego z osiemset sztuk. W sumie dwa „pojedynki”. Jak się jedynym koniem woziło, mówiło się na to

„pojedynek”. Zwykle parą koni, to cały piec ceramiki się woziło. „Pojedynkiem” - pół pieca. We wtorek to było, wtedy odbywał się tam jarmark. Kupiec mówi do mnie:

- O, tutaj złóście te garnki panie Kwiatkowski. Wszystko pan obliczy, a później zapłacę. Zdejmujemy towar, a furmamy mówią – nie liczy, powiedz że było więcej. Odpowiedziałem im, że na to nie pójdę. Ile przywożem, za tyle wezmę. Trudno było sobie renomę wyrabiać. Ale jak ktoś ją wyrobił, to miał ciągły rynek zbytu. I nigdy tak później nie było, żeby jakikolwiek kupiec do którego zawoził garnki, przeliczał je. Klient raz się przekonał z kim ma do czynienia, potem wierzył mi na słowo. Wśród garncarzy obowiązywały niepisane zasady etyki zawodowej. Kręctwem nigdy daleko nie zajechał. O opinię trzeba było dbać.

Na Lubelszczyźnie miałem już dobrą renomę. Pojechał taki jeden sprzedać ceramikę do kupca, który brał wyroby ode mnie. Chciał mu oddać nawet taniej, niż ja sprzedawałem. Lecz ten, nie zrobił z nim interesu, bo go nie znał. Syn Krzysztof robi miseczki na znicze. Inni rzemieślnicy nie tak dawno, w Pawłowie, dosłownie na ulicy, łapali kupca, gdy tylko się pojawił. Też gotowi byli mu taniej oddać swoje produkty. Nie – mówi – ja u Kwiatkowskiego biorę. Przed świętym zmarłych miseczki do zniczy miały wyjątkowy popyt. Dopiero jak synowi ich zabrakło, to brał od innych wytwórców i odsprzedawał swoim kupcom. Naturalnie z zyskiem. Syn również wyrobił sobie markę. Oszukaństwa, jak co niektórzy dzisiejsi garncarze nie zna w interesie. Na pewno pomogły mu w tym nasze rodzinne tradycje. Wszak i ja po ojcu objąłem tę markę. Kupcy wiedzieli, że Kwiatkowsky to solidna firma. Ojciec zawsze mówił: - Broń Boże, kogoś oszukać. Bo oszustwo ma krótkie nogi, raz służy, a ślady niczym piętno pozostawia na całe życie.

Byli tacy kupcy, którym jeszcze ojciec robił garnki przed sześćdziesięcioma laty. Gdy „rodzic” już nie żył, ja im robiłem. Nie poszedł do kogoś innego, tylko do mnie przyszedł. Po ojcu ja tego kupca „dziedziczyłem”.

Od czasów przedwojennych, dużo się zmieniło w technice wykonywania ceramiki. Teraz w Pawłowie co najmniej kilka

osób całkowicie mechanicznie robi miseczki do zniczy. Nie tak jak dawniej, ręcznie. Dla nich liczy się tylko szybko osiągnięty zysk. Na tym nie trzeba już się tyle znać, co na ręcznym wyrobie garnków. Jednak ciągle ważne jest wypalanie. Tutaj nie ma żadnego termometru, wszystko trzeba jak dawniej robić „na oko”.

Mój syn, Krzysztof oprócz tych miseczek wykonuje jeszcze flakony. Robi się je w takich specjalnych gipsowych formach, do których nalewa się glinę. Tej ceramiki nie trzeba obrysowywać, ponieważ wzory są odciskane na naczyniu w środku formy. Obecnie jest na nie duże zapotrzebowanie ze strony handlowców. Takiego mechanicznego robienia ceramiki nie nazwałbym już jednak prawdziwą sztuką ludową. Sądzę, że jest to raczej komercja. Dawniej, każdy garnek był jakby częścią mnie samego, moich myśli i pragnień. Formowałem go, cieszyłem się, kiedy pięknie wyszedł i podobał się ludziom. A dzisiaj – naczynia to tylko „głuche” odlewy z formy.

Starszy rzemieślnik zawsze pozna swój garnek na końcu świata. Wie pan po czym? Po sposobie wyrobu. W Pawłowie taki jeden garncarz robił dzbanki. Po czym można było je poznać? Otóż po uchu. Kupowałem od niego surówkę. Jakby nie przyczepił tego ucha do dzbanka, zawsze było krzywe. Nikomu nie udało się zrobić takiego samego naczynia jak jemu, a wielu tego próbowało. Okazało się ono nie do podrobienia.

Ginie prawdziwe garncarstwo w Pawłowie. Nikt nie chce się uczyć tego tradycyjnego zawodu” – wzdycha mistrz Kwiatkowski. - „Tych kilku robi mechanicznie ceramikę dekoracyjną. Przed kilkoma miesiącami, tutaj, w Gminnym Ośrodku Kultury na rynku pawłowskim, otwarto wystawę prezentującą działalność wielu pokoleń garncarzy. Są tam i nasze siwaczki. Znalazły się na niej i inne, a dawno już u nas nie wytwarzane wyroby ceramiczne, takie jak: cedzaki, makutry, gładyszki, bańki, szabasówki, solniczki, czy też dwójczki. Można tam zobaczyć również zespoły miniaturowych naczynek takich jak: skarbonki, cukiernice, flakoniki. Wyrobem tej galanterii ceramicznej zajmowała się w Pawłowie nieżyjąca już Katarzyna Ciechomska – Kurcewicz.

- Która to Janek? Pyta Kwiatkowska. - „A to „Szportaniny” żona. „Szportanina” to oczywiście przezwisko, jakby pseu-

donim artystyczny po mężu” – wyjaśnia garncarz. - „Tak go miejscowi nazwali. On był u mnie palaczem. Pewnego razu mówi: - Nie przyjdę zaraz palić, bo mam jeszcze troszkę szportaniny w domu. I tak już się ostało. „Szportanina”, zaczęli na niego wołać. Niechby pan wyszedł na Pawłów i zapytał o Bronisławę Kurcewicz, córkę Katarzyny, to by się każdy chwilę zastanowił. Gdyby pan powiedział, że to żona „Szportaniny”, to wszyscy bez wahania wskażą drogę.

- Skoro rozmawiamy o przezwiskach, to pewnie pan nie wie, jak wołają na tego garncarza Stanisława Wanarskiego. „Usyk” - opowiada Jan. - A dlaczego tak? Bo kiedyś jeszcze przed wojną, w naszej osadzie miał gospodę Usyk. Mieściła się ona w obecnym domu Wanarskiego. - O, to ta drewniana chałupa, przy pomniku” – pokazuje Kwiatkowski. „Później Wanarski założył tam knajpę i nazwali go „Usyk”. Wcale się nie obraża, że tak na niego wołają. Były też w Pawłowie Kozły. Od kolorów włosów przezywano ich „Rudy” i „Czarny”.

Tego, jakie są przezwiska w naszej osadzie, nie dowie się nikt z wystawy w ośrodku. A to jest również ciekawa historia, jaką pisało samo życie. Warto, aby nie uległa zapomnieniu.

Przestałem się zajmować garncarstwem na co dzień. Wiodę życie spokojnego emeryta. Wszak mam już siedemdziesiąt sześć lat. Wiek swoje robi. Nie mam tyle siły i energii w sobie co dawniej. Kiedyś spało się ze dwie godziny na dobę, a może i mniej. I dobrze było, a teraz wysiada się pomalenku. Młodzi nie chcą się tym zajmować – powtarza kolejny raz mistrz z Pawłowa.

- Różne osoby próbowały u mnie sił w garncarstwie i nie wszystkim się to udawało. Jednym z nich był nawet komendant powiatowy milicji z Chełma.

Wycieczki odwiedzają mnie najchętniej przy okazji zwiedzania tej wystawy garncarskiej w ośrodku kultury. Bo tam jest tylko taki jeden pracownik, kluczownik, który otwiera, a później zamyka to pomieszczenie z eksponatami. Nie jest przewodnikiem. Dlatego też turyści przychodzą później do mnie. W warsztacie dopowiadam im co nieco od siebie. Wtedy też zasiadam jeszcze do krążka, aby coś w ramach pokazu wytoczyć. Ostatnio byli u mnie z Uniwersytetu Jagiellońskiego

go w Krakowie. Gościłem też wycieczki z Włoch i Niemiec. Ci ostatni przyjechali ze swoim tłumaczem. Chcieli, abym im pokazał, jak się garnki robi. Ten ich biedny tłumacz, tak się przy tym przekładaniu męczył, że nawet machał rękoma niczym mucha skrzydełkami. Nie znał fachowych słówek z terminologii garncarskiej. Aż w końcu żał mi się chłopca zrobiło, więc go wyręczyłem. Zacząłem mówić do nich po niemiecku. Ten zdziwiony pyta: - Gdzie się pan nauczył tego języka? A ja mu zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że w Niemczech, bo byłem tam przez pewien czas. Zatkąło go w tym momencie zupełnie.

Kiedyś nie miałem jeszcze tego krążka na prąd do robienia ceramiki. Musiałem kręcić go nogą. Była u mnie taka wycieczka i pytają, jak to noga tak długo wytrzyma. Ja mówię, że mam sztuczną. Bo jeśli by była własna, to do kolana już obita. I oni uwierzyli, że ja mam sztuczną nogę” – śmieje się garncarz. „Różni ludzie do mnie zaglądali i różnych poznałem. Na przykład któregoś roku, na Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym, dokąd jeździłem ze swoimi wyrobami, poznałem Wojtkę Siemiona. Znam go dobrze. Bardzo interesował się garncarstwem. Pochodzi z okolic Lublina. Jak w Dorohusku były ładnych parę lat temu zorganizowane Międzynarodowe Spotkania Twórców Ludowych, to poznał mnie z daleka.

Patrząc na swoje życie, wydaje mi się, że go nie zmarnowałem i nie przespałem. Wszystkie dzieci wychowałem na porządnym i szanowanym ludzi. Także moją pracę garncarza doceniono w kraju i na granicę. Świadczą o tym liczne nagrody, wyróżnienia otrzymane przeze mnie na rozmaitych wystawach twórców ludowych, jak choćby w Warszawie, Toruniu, Częstochowie, Krakowie. Miałem z piętnaście dyplomów, ale nie wiem gdzie się podziały. Część z nich córka wywiozła do Lublina. Tam u niej w domu już pozostały. Nigdy nie przywiązywałem do nich zbytnej wagi.

Najbardziej ze wszystkich zdobyć cenę dwie nagrody. Pierwszą z nich otrzymałem za eksponaty prezentowane na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Ludowej w Monachium. Miało to miejsce w 1965 roku. Specjalnie na nią zrobiłem naczynia: siwaki, czerwone oraz polewane flakony. Spodobała się Niemcom moja

ceramika. Tamtejsza Izba Rzemieślnicza przyznała mi wtedy taki blaszany szkalperz, za wysoką jakość wyrobów. Dostałem też dużą, jak na tamte czasy, nagrodę pieniężną w markach.

A druga to osobiste błogosławieństwo papieża Jana Pawła II. Otrzymałem je na piśmie w 1982 roku. Szesnaście lat temu delegacja parafii miała wyjechać z Pawłowa do Rzymu na uroczystości kanonizacyjne Maksymiliana Marii Kolbego. Nasz proboszcz, ksiądz kanonik Zygmunt Szafran zastanawiał się, jaki prezent moglibyśmy zawieźć Ojcu Świętemu z tej okazji. Ceramikę z Pawłowa, wśród której były także i moje wyroby, sprzedawano za pośrednictwem „Cepelii” do Włoch, Niemiec, Francji i Anglii. Dlatego też postanowiono ofiarować papieżowi duży siwy flakon. Proboszcz powiedział mi, że jedziemy wtedy i wtedy. - Musisz, Janku, zrobić go dla Ojca Świętego – dodał. Ja się początkowo przestraszyłem ogromu odpowiedzialności i odpowiedziałem księdzu, że nie dam rady. Poza tym, chcąc coś wypalić, to trzeba było mieć cały piec ceramiki. Nie opali dwóch, trzech sztuk. Jednak proboszcz nie dał za wygraną – flakon musi być. Przecież nie ma rzeczy niemożliwych. Uległem mu. Zrobiłem więc dwa flakony. Bo jeden z nich mógł być wadliwy. Janek Sławiński je obrysował. Rysunki przedstawiały obóz zagłady w Oświęcimiu. Święty Maksymilian był więźniem tego obozu. Teraz, zastanawiałem się, jak wypalić te flakony. Poprosiłem więc o to garncarza, który kiedyś wypalał u mnie w piecu znicze na siwo. Nie śmiał odmówić. Wyszły akurat dobre. Ksiądz proboszcz Szafran podczas specjalnej audyencji w Watykanie przekazał Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II jako dar od naszej parafii ten siwy flakon”

Mistrz Kwiatkowski wstaje od stołu, podchodzi do wiekowego kredensu i wyciąga z niego jakiś rulon papieru. Odwija go, po czym głośno czyta nieco drżącym głosem: - „Ojciec Święty Jan Paweł Drugi udziela całym sercem apostolskiego błogosławieństwa Janowi Kwiatkowskiemu, wzywając obfitości łask bożych. Watykan 1982 rok”. - „Jest to dla mnie najważniejsza i najbardziej wartościowa oraz jedyna w swoim rodzaju nagroda za całe życie, błogosławieństwo Ojca Świętego.

Ciekawe, co to dalej będzie z tym naszym garncarstwem w Pawłowie” – za-

stanawia się rzemieślnik. - „Czy ktoś zechce jeszcze to robić? Jest pewna iskierka nadziei na to, żeby ktoś zechciał, tak jak ongiś bywało, robić różne garnki. Corocznie przyjeżdża do mnie młodzież ze szkoły zawodowej przy Zakładach Ceramicznych w Krasnymstawie. Pokazuję im, jak się robi naczynia, opowiadając przy tym różne ciekawe historyjki na temat przedwojennego garncarstwa. Mam czas, już jestem na emeryturze. Mogę więc poświęcić im kilka chwil, dzieląc się zdobytym doświadczeniem. Zauważyłem, że wśród tej młodzieży szczególnie zdolne są dziewczęta. Widzę, że szybko nauczyłbym je garncarstwa. Pierwsze co zawsze robię, to pokazuję, w jaki sposób wykonuję ceramikę. Tworzę przy tym kilka sztuk naczyń. Od razu widzę, kto się tym interesuje.”

- „Powiedz Janku, po czym to poznajesz?” - dopytuje się jego żona.

- „Bo tak zagląda, patrzy i ma ciekawość, jakby ogień w oczach. Zagląda w moje ręce, a formowany garnek dosłownie „pożera” wzrokiem. No i po chwili sami próbują naczynia robić. Na takich pięć wykonujących dziewczyn, dwie były naprawdę utalentowane. Jedna z nich powiedziała mi, że gdyby mieszkała bliżej Pawłowa, często by przychodziła do mnie zgłębiać tajniki wiedzy garncarskiej. Lecz mieszka gdzieś daleko za Krasnymstawem. Dyrekcja tej szkoły chciała, abym jeździł uczyć młodzież. Tam, na miejscu w Krasnymstawie mają nawet krążek garncarski. Jednak za dużo bym stracił czasu w podróży, bo tego miasta będzie ze trzydzieści kilometrów od Pawłowa. Nie opłaciłoby się na dwie godziny lekcji tygodniowo.

Tak więc przyjeżdżają do mnie. A gdy już przyjadą, to zawsze im mówię. Módlcie się, jak jeszcze chcecie przyjechać za rok, abym doczekał następnego roku. Musicie mnie wspierać duchowo.

A tradycyjne garncarstwo w moim rodzie i tak pewno na mnie się zakończy. Mój syn Krzysztof robi garnki dopiero od dwóch lat. Lecz on nie wykonuje ich już ręcznie, a mechanicznie, bo to jest łatwiejsze.

Krzysztof ma jednego syna. Szymon chodzi do piątej klasy Szkoły Podstawowej w Pawłowie. Jak na razie nie interesuje się garncarstwem. Ale kto wie, może w przyszłości, bo jest zdolny i najlepiej uczy się z całej szkoły.”

Przedruk z „Rocznika Chełmskiego”.

Tom 4. 1998

Z Anglii do Pawłowa na rowerze

Cz. I

Karol Kwiatkowski

Kilka lat temu na jednej z imprez usłyszałem, że pewien mężczyzna przejechał trasę z Anglii do Polski... rowerem. Ładne żarty pomyślałem - takie dystanse pokonuje się autem albo samolotem. Przyszła pandemia, rok 2020, wszystko pozamykane albo zakazane, gdzie jedyną rozrywką mogła być jazda na rowerze. Akurat taki posiadałem i zacząłem od 20-kilometrowych przejazdów.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia i sukcesywnie zwiększałem długości swoich tras. Odwiedziłem Walię i pojechałem do Londynu, po drodze mijając takie rzeczy, których nigdy bym nie zobaczył jadąc autem. Dojeżdżając do Big Bena, zadowolony z osiągniętego celu, pomyślałem sobie: a może kiedyś pojechać z Anglii do Pawłowa.

Przygotowania do wyprawy zacząłem w 2021. Wiedziałem, że w następnym roku zmierzę się z dystansem dwóch tysięcy kilometrów. Do tego wypadał XX Jarmark Pawłowski, więc wypadałoby uczcić tak wyjątkową rocznicę w sposób niekonwencjonalny. Proponowałem dołączenie do wyprawy dwóm znajomym, aktywnym fanom kolarstwa, ale widocznie bali się takiego wyzwania. Było mi obojętne czy pojedę sam czy z kimś, była data startu i realizacja. Nie ogłaszałem zamiaru w mediach społecznościowych, informując jedynie garstkę osób. Zastosowałem metodę „Sukces lubi ciszę”, jak widać skutecznie. Tre-

nowałem, pokonując różne dystanse dochodzące nawet do 200 km dziennie. Odwiedziłem wokół Bristolu wszystkie atrakcje i trasy rowerowe, pojechałem nad ocean do Walii i Szkocji. Zrobiłem to w okresie letnim, po którym rower spoczął w garażu na kilka miesięcy. Oczywiście nie znaczyło to, że nic nie robiłem, tylko zmieniłem dyscyplinę na bieganie. Miałem okres przygotowawczy do jesiennego maratonu w Londynie, a później do wiosennego w Manchesterze.

Od maja rower ponownie przejął palmę pierwszeństwa i zaczęły się bezpośrednio przygotowania do wyjazdu. Starłem się jeździć kilka razy w tygodniu, dodatkowo pracując na siłowni nad wzmocnieniem mięśni związanych z pracą kolarską. Odcinki, które pokonywałem nie były zbyt długie (50 - 80 km), bo trenowałem na tygodniu po pracy albo przed, a na jedyny długi wyjazd udałem się w wolny weekend do słynnego Stonehenge. Strona techniczna wyjazdu, mogłoby się wydawać, była pod kontrolą. Rower, który miał pokonać 2 tysiące km był rowerem górskim, użytkowanym od dwóch lat i byłem z niego zadowolony. Na miesiąc przed wyjazdem podczas wymiany łańcucha na nowy zauważyłem kilka nowych usterek, których pełna naprawa zajęłaby dłuższy czas. Nie chciałem tracić czasu na testy czy czekanie na części, szczególnie w ostatnich tygodniach przed wyruszeniem w tak długą trasę. I kupiłem nowy rower!

Poszedłem do lokalnego sklepu, do znajomego sprzedawcy i mówię: chcę kupić rower, którym dojadę do Polski! Where? Odparł sprzedawca. Tak, do Polski. Po lekkim szoku zaproponował mi odpowiedni rower firmy Specialized, który był gotowy do odbioru już następnego dnia. Do tego doszedł odpowiedni zestaw sakw rowerowych, kluczy do naprawy roweru i plecak. Najważniejszym elementem wyposażenia była nawigacja. Nabyłem model Garmin 830 kilka miesięcy przed startem i mogłem powiedzieć, że sprzęt zdał egzamin na szóstkę. Do tego dochodzi aplikacja dla rowerzystów Komoot, z której wgrywałem mapy do nawigacji. Miałem w bagażu także mapy klasyczne, ale pomagały mi tylko w planowaniu kolejnego dnia i orientacji na mapie Europy. Z ubrań technicznych miałem dwie pary spodenek kolarskich z gąbką, ortalion, bluzę, czapkę kolarską oraz rękawice. Do tego dochodzi reszta ubrań, kosmetyki, bank energii, okulary, oświetlenie, kask, 3 bidony, tabletki musujące izotoniczne, żele energetyczne i suche kabano-sy idealne jako przekąska w każdych warunkach. Podczas kilkunastogodzinnych etapów pomocna była aplikacja z polskim radiem, YouTube czy audiobooki, dzięki którym nie nudziło się na trasie. Przebojem mojego wyjazdu został „Jeden tańiec, jedna noc” zespołu Defis i Miły Pan, który był puszcany w radiu VOX z kilkaset razy. Jako ciekawost-



ka dodam, że wokalista tego pierwszego, Karol Zawrotniak, pochodzi z Cycowa i gra w piłkę w Błękiście Cyców. Patrząc na prognozę pogody przewidującą 40-stopniowe upały obawiałem się ewentualnego przegrzania czy osłabienia organizmu, wynikającego z jazdy w tak ciężkich warunkach. Anglia, a także Europa była pod wpływem tzw. heat wave, czyli masy ciepłego powietrza z Afryki. Synoptycy zapowiadali nawet 43 stopnie, co nie było dobrym prognozą przed startem mojej wyprawy. Nurtowała mnie niepewność co do wydolności swojego organizmu w tak ekstremalnych warunkach. Jedną z dróg było odpuszczenie części angielskiej i przejazd pociągiem do portu w Harwich, stamtąd rejs do Holandii, skąd zacząłbym rowerową część wyprawy. Ewentualny sukces takiej wyprawy nie zadowoliliby mnie jednak w 100%, bo pierwotny plan wyjazdu polegał na starcie z domu w Anglii i dotarciu na ulicę Lubelską na mojej Poczekajce. Pomimo rozważenia krótszego dystansu decyzja zo-

stała podjęta i o godzinie 9 rano 16 lipca wyruszyłem w drogę z mojego angielskiego Radstocku do Pawłowa. Dzień przed startem spakowałem swoje rzeczy, dopasowałem sakwy do bagażnika, zostawiłem nadmiar sprzętu i byłem gotowy na przygodę. Nie zabrałem dużo rzeczy, tylko te najpotrzebniejsze, eliminując ciężki, składany materac przy ostatecznej fazie pakowania, zastępując go lekką folią termalną.

Anglia

Pierwszy etap liczył 125 km i kończył się w Reading. Większość trasy była dla mnie znana z wyprawy do Londynu, którą odbyłem razem z kolegą Krystianem dwa lata temu. Po pierwszych 50 km zaczęła się najcięższa część, bo wyjechałem ze ścieżki położonej wzdłuż chłodnego kanału na otwarty asfalt w 35 stopniowym skwarze. Po kilku godzinach upał zelżał i wjechałem w zacieniony teren, więc ostatnie kilometry jechało

się przyjemnie. Nocleg miałem zarezerwowany przez aplikację Airbnb. Następny dzień podobnie czyli 35-stopniowy upał i przejazd przez Londyn, a później do Chelmsford. Pobudka rano, po piątej, szybkie pakowanie sprzętu i w trasę. Londyn od zachodu na wschód ciągnie się ok 80 km, więc większość niedzieli zajął przejazd przez miasto. Przed wjazdem minąłem słynne Windsor, znane z zamku królewskiego, ale także z rozległego parku. Co jest charakterystyczne dla Anglii, w każdy poranek mijałem dziesiątki biegaczy, kolarzy czy innych amatorów aktywności fizycznej. Jak widać nie wszyscy budzą się w weekendowy poranek z bólem głowy jako efekt dnia poprzedniego. Mijając największe lotnisko w Europie, Heathrow, zrobiłem sobie przerwę na zrobienie kilku fotek. Samoloty lądowały tuż nad moją głową co dwie minuty; mogłem się przyjrzeć z bliska ogromnemu Airbusowi A380, będącemu największym statkiem pasażerskim. Oprócz mnie na taki pomysł wpadło kilkadziesiąt osób, którym taki sposób

spędzania wolnego czasu przypadł do gustu. Mają oni swoją nazwę - spotter-si czyli hobbyści robiący zdjęcia samolotom. Przejazd przez miasto nie mógł się obyć bez Buckingham Palace, Big Bena, London Eye czy mostu na Tamizie. Trasa była tak opracowana, aby nie pominąć najważniejszych atrakcji Londynu. Dalsza część dnia była ciężka z racji upału, który bardzo doskwierał we wschodniej części miasta, ale gdzieś tak po godzinie 18.00 już dało się złapać głęboki oddech i normalnie jechać.

Ostatni dzień na angielskiej ziemi zaznaczył się małym kilometrażem, ok. 80 km, ale też 38-stopniowym upałem. Wyruszyłem rano, ale już po kilku godzinach kręcenia można było odczuć żar lejący się z nieba. Przy takim upale ważne jest odpowiednie nawodnienie, częste odpoczynki i suplementacja. Miałem specjalne kapsułki, zawierające potas, sód czy magnez, które są wypłukiwane wraz z potem podczas wysiłku. Na trasie spotkałem jednego kolarza, który przygotowywał się do tygodniowego objazdu na terenie Anglii. Kilkuminutowa pogawędka była miła - złapał się za głowę, kiedy usłyszał dokąd zmierzam, okazał podziw i życzył mi powodzenia w dalszej jeździe. Do Harwich dotarłem o 14.00, spędziłem kilka godzin w klimatyzowanej restauracji Wetherspoon, następnie małe zakupy w Lidlu i miałem zamiar udać się do terminala. Byłem pewny, że te kilka godzin przed odpłynięciem poczekam sobie w komfortowych warunkach. Jednak tak nie było. Bo tam nie było niczego! Promy kursują do Harwich tylko dwa razy dziennie, rano i wieczorem, a o klimatyzowanej poczekalni można pomarzyć. Na szczęście obok terminala znalazłem mały park, gdzie w cieniu czekałem na swój statek. Mój prom odpływał o 23.00 i miał dotrzeć do brzegu Holandii o 8.00 rano. Odprawiłem się jako jeden z pierwszych i czekałem kilka godzin na zaokrętowanie w specjalnej alejce dla cyklistów i motoroweryzistów. W końcu na dwie godziny przed wypłynięciem zostaliśmy wpuszczeni na ogromny pokład jako pierwsi i zostawiliśmy swoje rowery na jednej z kilkunastu kondygnacji.

Udałem się do swojej kajuty, gdzie zregenerowałem się przed kolejnym dniem. Oczywiście nie mogłem sobie odmówić wycieczki po ogromnym promie. Wnętrze wygląda ekskluzywnie, są tam bary, restauracje, kasyna czy sklepy, ale najfajniejszą częścią są tarasy widokowe. Pożegnałem się z łodem angielskim i poszedłem spać. Rano o 6.45 ze snu wybił mnie dźwięk syreny i słowa kapitana mówiące, że zbliżamy się do łądu holenderskiego. Szybka kawa z rogalikiem na tarasie i pojawia się zarys wiatraków - witamy w Holandii. Jednak nie były to zbożowe, tylko kumulujące energię wiatraki elektryczne. W każdym bądź razie dobiłem już do brzegu kontynentalnej Europy. Przed opuszczeniem statku miałem problem ze znalezieniem piętra, gdzie zaparkowałem rower, ale pracująca przy obsłudze ekipa Filipińczyków była bardzo pomocna i pomogła mi rozwiązać problem. Opuściłem prom jako jeden z ostatnich, razem z kierowcami tirów. Szybka odprawa przy punkcie granicznym i witamy w Holandii. Jako ciekawostkę dodam, że przy terminalu była poczekalnia dla pasażerów.

Witamy w Holandii

Podczas pierwszego dnia w Holandii nie miałem w planach długiej jazdy. Powodem tego był ponownie skrajny upał. Celem było miasto Utrecht, oddalone o 80 kilometrów. Różne można usłyszeć opinie o Holandii, w tym jedna mówiąca, że jest to raj dla rowerzystów. I to jest prawda w 100%! Od samego portu poruszałem się po drodze asfaltowej, w której był wyodrębniony prawy i lewy pas dla rowerów. Do samego Utrechtu dojechałem tylko po takich ścieżkach, na dodatek mając pierwszeństwo przed autami przejeżdżając przez szosę. Trasa przez Holandię prowadzi często wzdłuż kanałów, malowniczo wkomponowanych w tamtejszy krajobraz. Do tego dochodzi także wszechobecna głęboka zieleń. W sąsiedztwie kanałów stoją domy, a ich mieszkańcy chłodzą się w zimnej wo-

dzie. Nie wiem, czy to dobry pomysł, bo ich błada karnacja przy 38 stopniowym upale nie chroni przed oparzeniami słonecznymi. Tego dnia musiałem dokonać korekty co do miejsca noclegowego. Pierwotnie miał to być hostel, ale prognoza zapowiadała upał nawet po godzinie 22.00. Kolejny dzień bez regeneracji w zimnym pomieszczeniu mógłby zakończyć moją wyprawę już na etapie niderlandzkim. Zdecydowałem się na skasować hostel i zabukować klimatyzowany hotel. Kosztowało to mnie trochę euro, ale tamta decyzja była strzałem w dziesiątkę. Chłodny pokój pozwolił mi na właściwy odpoczynek i zaplanowanie na następny dzień ponad 150-kilometrowej trasy aż do granicy niemiecko-holenderskiej. Po dobrej nocy w Utrechtie pełny sił wyruszyłem w stronę wschodniej Holandii. Nie zjadłem śniadania, bo zaczynało się zbyt późno dla mnie i miałem nadzieję, że uda mi się coś zjeść po drodze. Po dwóch godzinach jazdy pojawiła się stacja benzynowa, gdzie kupiłem kawę i kanapki. Mijany McDonald był otwierany dopiero od godziny 11.00, co jest dość późną porą w porównaniu do Polski czy Anglii. Ogólnie nie spotkałem tam małych sklepików czy gęstej sieci stacji paliw, jedynie tylko w większych miastach można było spotkać market, np. Jumbo. Jadąc w stronę wschodniej części kraju zaobserwowałem zmieniający się krajobraz, liczne wcześniej kanały zniknęły. Udało mi się spotkać charakterystyczny obiekt dla tego kraju - wiatrak, w którym lata temu miełono zboże. Jakby rosły obok tulipany to wyszłoby zdjęcie roku. Dzień był długi, trasa także i w końcu skończyła się Holandia. Ostatnie 20 kilometrów wytyczone było na nasypie wzdłuż kanału służącego przez lata do przewozu towarów. Ciężko było zauważyć granicę państw, którą w pierwszym momencie przegapiłem. Dopiero po nawrocie zauważyłem stary szlaban i słupki graniczne. Miejsce mojego noclegu mieściło się w budynku, w którym dawno temu mieściła się siedziba niemieckiej straży granicznej. Patrząc na Google maps znajdowało się ono idealnie na wysokości granicy między Holandią a Niemcami.

Moja szkoła po latach¹

Ks. Prof. zw. dr hab.
Edward Walewander

Święty Łukasz w swojej Ewangelii informuje, że któregoś dnia Jezus „przyszedł również do Nazaretu, gdzie się wychował. W dzień szabat udał się swoim zwyczajem do synagogi i powstał, aby czytać” (Łk 4, 16), a po przeczytaniu urywka z księgi proroka Jeremiasza: „Duch Pański spoczywa na Mnie, ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę, więźniom głosił wolność, a niewidomym przejrzenie; abym uciśnionych odsyłał wolnymi, abym obwoływał rok łaski Pana” (Łk 4, 18-19), zaczął przemawiać do zebranych w świątyni. Nawiązał przy tym do swojej misji, podkreślając, że w Nim spełniają się przeczytane słowa Pisma, co niestety wśród jego słuchaczy zrodziło ostrą reakcję: „Porwawszy się z miejsc, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na urwisko góry, na której zbudowane było ich miasto, aby Go strącić. On jednak przeszedłszy pośród nich, oddalił się” (Łk 4, 29-30). My wszelako jesteśmy tu, w tej szkole – XXI Liceum Ogólnokształcącym im. św. Stanisława Kostki w Lublinie, potocznie zwanym też Biskupiakiem, bo w latach 1923-1949 znane było jako Wyższe Gimnazjum Biskupie Męskie, biskupa lubelskiego mając za protektora – aby jeszcze bardziej zbliżyć się do Jezusa, a przez Niego do siebie nawzajem.

Przyznam na własnym przykładzie, że im bardziej postępujemy w latach, tym chętniej wracamy do szkoły, którą opuściliśmy kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu. Dziwne to, bo przecież niejednokrotnie dowiadujemy się, że na szkołę zazwyczaj się psioczyło i bodaj dalej się

psioczy. Tyle w niej obowiązków spada na biednego ucznia, tyle ograniczeń, tak wiele wymagań, zdawać by się mogło, że ponad siły. Pamiętam, ileż to było wzdychań do upragnionej chwili, kiedy ze świadectwem ukończenia wręcz wyfrunę się ostatni raz przez tak dobrze znaną bramę z silnym postanowieniem, że tego obmierzłego przybytku już nigdy się nie nawiedzi. Nic, jak się miało okazać, bardziej mylnego. Dopiero bowiem kiedy się tej swojej szkoły tak naprawdę posmakuje, acz już zazwyczaj z dala od niej, zaczyna wracać oskoma na tamte lata. Bądźmy ogłędni w słowach, niech więc będą wymagające, może niekiedy nawet trochę budzące strach przed skutkami własnego lenistwa, dopiero teraz, po latach w pełni uświadomionego. Szkoła wspomniana po latach staje się jakby bliższa sercu. Kiedy dzisiaj przechodzę obok murów mojej szkoły, nagle wydaje się, że to było jakby wczoraj, kiedy je żegnałem. Ta niegdyś tak nudna brama zdaje się teraz zapraszać jak do jakiegoś wykwiutnego lokalu. Może bym i wstąpił, ale kogo zastanę? Co powiedzą, widząc intruza, czy zrozumieją, że wracam trochę jak syn marnotrawny i czekam na wylewne przyjęcie? Pokolenie, które, tak jak i ja niegdyś, patrzy na szkołę jako na zło konieczne, kiedyś, może już nawet za lat kilka, także nieśmiało będzie obchodzić te nagle tak bliskie i drogie mury, zaglądać do bramy, którą kiedyś przekraczało się może z ciężkim westchnieniem katorżnika.

Tak jednak musi być. Pokolenia dojrzewają nie w szkole, ale wtedy, kiedy przychodzi zbierać plon jej zasiewu. To niekoniecznie bywa plon, jakiego można by oczekiwać po każdej szkole. Dzisiaj, owszem, mamy oczy otwarte i widzimy, kto i co wysiewa. Iluzje w tym

względnie są czymś najgorszym, gdyż nie pozwalają widzieć szkoły w jej właściwym kształcie. Tymczasem jest on ważny, gdyż od niego zależy plon, jaki szkoła i nauka w szkole po latach przynosi.

Szkoła to temat ciągle ważny i aktualny

Szkoła zatem to temat ciągle ważny i aktualny. O szkole od dawna wiele się mówi i pisze. W kronice szkolnej w bawarskiej miejscowości Obergangkofen znalazłem niecodzienny, może nieco ironiczny zapis nauczyciela z połowy XIX stulecia: „Szkoła była zła, jest zła i taką zawsze pozostanie”².

Całkiem odmienny obraz szkoły przedstawił znany polski pisarz Melchior Wańkowicz w swej książce *Na tropach Smętka*, wydanej w 1936 r. Zacytuję większy fragment, ponieważ Wańkowicz dobrze przedstawia szkołę z naszych uczniowskich lat i przekazane nam dziedzictwo. Słusznie stwierdza:

„Jeśli dla życia politycznego narodu jego zewnętrznym symbolem i jego warunkiem najistotniejszym jest niezawisłość, to dla życia duchowego i kulturalnego – szkoła.

Można powiedzieć, że jest ona ważniejsza niż wszystko – niż prasa, bo tę zastąpi «wieś gminna», niż nabożeństwo w języku ojczystym, bo to zawsze potrafi się schronić pod jakową

¹ Rozważanie - wygłoszone w kaplicy szkolnej XXI Liceum Ogólnokształcącego im. św. Stanisława Kostki w Lublinie (Biskupiaka) 17 czerwca 2022 r. - do nauczycieli i absolwentów Technikum Przemysłowo-Pedagogicznego.

² *Schulchronik (Kronika szkolna)*, Archiwum parafialne Obergangkofen (archidiec. monachij-ska), bez sygn.

figurę przy drodze, pod dach prywatnego domu.

Szkola – to dopiero uchwytne wiązadło, które kłosa myśli, źdźbła uczuć bierze w powrósł organizacji i sprawia, że już się żółci nowy snop dojrzały, uchwytne [...].

W szkole krystalizują się uczucia w rozumowania i rozumowanie prześwieśla się uczuciem. W szkole z chaosu wylania się twarde duchowe ląd. To szkoła daje swoją tradycję, to szkoła stwarza świat, któremu pozostajemy wierni.

Dlatego wszędzie, gdzie jest zagrożona narodowość, rozżarza się najstraszliwsza, najzajadliwsza walka o szkołę”³.

Jaki kapitał może dać dobra szkoła? Wiem, że przed II wojną światową do pracy przy budowie obiektów wielce obiecującego, ale niestety nigdy nieukończonego, z powodu właśnie II wojny światowej, Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP) przyjmowano do pracy bez jakichkolwiek referencji, można powiedzieć: z otwartymi ramionami, absolwentów szkół zawodowych prowadzonych przez księży salezjanów, zwłaszcza oświęcimskich. Przyczyną aż takiego wzięcia owych adeptów były nie tylko ich niepodważalne kwalifikacje zawodowe, ale także etos, wartości moralne, jakie im wpojono w prowadzonej przez zakonników szkole. Każdy rzemieślnik chciał się wtedy legitymować przede wszystkim uczciwością.

Absolwenci pewnej szkoły zawodowej, kiedy ich pytano, komu z wychowawców i nauczycieli zawdzięczają najwięcej, odpowiadali bez wahania: nauczycielom zawodu. To byli bowiem prawdziwi rzemieślnicy, dziś powiedzielibyśmy raczej, że fachowcy. Poniechanie szkół zawodowych po 1989 r. było wielkim błędem, gdyż nie tylko przeredziło szeregi wielu zawodów, ale pozbawiło społeczeństwo wartościowego, godnego zaufania pracownika, bez którego w wielu wypadkach naprawdę trudno się obejść.

Obrona szkoły to nasza zapłata za to, co ona nam dała. Niech to będzie zobowiązanie zakotwiczone w naszej pamięci.

O mojej szkole średniej, lubelskim Technikum Przemysłowo-Pedagogicznym, można także powiedzieć wiele dobrego. Dużo też już na jej temat napisano, w ten sposób też niejako uwieczniają poszczególnych profesorów. Niektórzy z nich doczekali się nawet osobnych publikacji, nawet książkowych. Pani prof. Alicja Omiotek wydała książkę, która jest zbiorem jej i naszych, uczniowskich wspomnień. Nadała jej wymowny tytuł: *Inna. Szkoła, jakich już nie ma*⁴.

Słowo „duma” jest tu jak najbardziej na miejscu. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że nic innego jak rękodzieło jest najważniejszym elementem budującego się świata. Stwórca powiedział wszak: *czyńcie sobie ziemię poddaną* (por. Rdz 1, 28). Któż bardziej idzie za tym wezwaniem, jeśli nie człowiek pracujący dosłownie w pocie czoła? Szkoła, którą wspominałem, tego właśnie uczyła, dlatego jest cenniejsza niż jakakolwiek akademicka, która może i dostarcza dobrze zaprogramowane mózgi, ale dopiero zręczne dłonie urzeczywistniają pomysły w tychże mózgach zrodzone.

Za każdym razem, kiedy wracamy w mury swojej szkoły – a z biegiem lat owa gromadka chętnych na to, niejako siłą rzeczy, coraz bardziej, niestety, maleje – mamy świadomość, że czas tu przebyty umościł drogę naszego życia. Szkoła, to oczywiście nie tylko budynek, mury, nawet nie klasy, pomoce naukowe. Szkoła to przede wszystkim ludzie. Ci młodzi w ławkach także. Szkoła jednak stoi, by tak powiedzieć, nauczycielem. Bywały niekiedy szkoły, zwłaszcza w czasach historycznych, nawet gdzieś w zapadłej wioszczynie, prowincjonalnym miasteczku, które przyciągały tłumnie uczniów. Magnusem było nazwisko sławnego nauczyciela, uczącego w takiej szkole. Wtedy najważniejszym tytułem był – uwaga – magister. Magister w podstawowym znaczeniu to – już od średniowiecza (*magister artium*) – nauczyciel, ale

można to słowo rozumieć też jako mistrz. Każdy nauczyciel, który wkłada w swój zawód umysł i serce, jest takim magistrem-mistrzem. Obojętne przy tym, czy ma tytuł profesora zwyczajnego na wyższej uczelni, czy uczy pierwsze klasy szkoły podstawowej w jakiejś małej wsi. I tam, i tu jest mistrzem niejako wykuwającym wchodzące na scenę pokolenia. Dlatego tym naszym magistrzem albo, jak mówiliśmy za naszych czasów – belfrom, niech będzie chwala i niech pamięć o nich nie zaginie. Może nawet ta pamięć pełna humoru, bo ona jest potrzebna. W *Pierwszym Liście do Koryntian* św. Paweł Apostoł wyznał: „*Ja siałem, Apollos podlewał, lecz Bóg dał wzrost*” (1 Kor 3, 6).

Trzeba sobie uzmysłowić, że wobec szkoły mamy też pewne zobowiązania. Musimy dbać o to, by szkoła nie stała się żerowiskiem ludzi, dla których nie człowiek jest ważny, ale jakaś idea, niekiedy tak groźna jak dziś covid 19. Obrona szkoły to nasza zapłata za to, co ona nam dała. Niech to będzie zobowiązanie zakotwiczone w naszej pamięci.

Z pewnością zachowaliśmy we wdzięcznej pamięci wiele wyjątkowych przykładów budującej postawy naszych pedagogów. Dlatego chcę w tym miejscu przytoczyć kilka słów Pisma Świętego o ludziach dobrych i uczonych. Taki człowiek „*wyklada swą naukę o umiejętności postępowania* [...]. *Wielu chwalić będzie jego rozum i na wieki nie będzie zapomniany, nie zatrze się pamięć o nim, a imię jego żyć będzie z pokolenia na pokolenie. Mądrość jego opowiadać będą narody, a zgromadzenie wychwalać go będzie. Za życia zostawi imię większe niż tysiąc innych, które po śmierci jeszcze wzrosną*” (Syr 39, 8-11).

Takich ludzi, mądrych i dobrych, naszych profesorów i wychowawców, wspominamy dzisiaj. Modlimy się za nich. Kontynuujmy też ich dziedzictwo w różnych środowiskach naszej życiowej misji.

3 M. Wańkowicz, *Na tropach Smętka*, Warszawa 1958, s. 192.

4 Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin 2016.

Stanisław Lipiński

(1936-2022)

Jolanta Kądzielewska z d. Lipińska

Czas zmarnowany nie istnieje we wspomnieniach.

S. Kisielewski

Stanisław Lipiński urodził się 23 października 1936 roku w Józefinie, zmarł 14 czerwca 2022 roku w Lublinie.

W latach 1943 – 1949 uczęszczał do Szkoły Powszechnej w Krasnem, a po jej ukończeniu kontynuował naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie, gdzie w 1953 roku uzyskał świadectwo dojrzałości.

Jak wspominał – pierwszy kontakt ze szkołą miał już w roku 1942, ponieważ uczęszczał do niej jako wolny słuchacz. Czytać umiał już w wieku 4 lat, dzięki lekturze podręcznika do języka polskiego dla pierwszej klasy oraz „gadziniówce” „Ster”.

Naukę w szkole podstawowej rozpoczął od klasy drugiej, do której skierował go ówczesny kierownik – Adam Bażan. Był to rok 1943.

Decyzja ta spowodowała w przyszłości pewne perturbacje, zwłaszcza przy podejściu do matury, ponieważ miał wówczas 17 lat i przystąpienie do niej wymagało zgody Ministra Oświaty.

W latach 1953 – 1956 studiował orientalistykę (język turecki, arabski i perski) na Uniwersytecie Warszawskim.

Niełatwo było niespełna siedemnastoletniemu chłopcu z niewielkiej wioski odnaleźć się w dźwigającej się z ruin stolicy tym bardziej, że poza skromnym stypendium, nie miał przyznanego akademika ani wyżywienia. Spotkało go jednak niebywałe szczęście. Po długich staraniach udało mu się uzyskać wizytę u ministra Adama Rapackiego, którego poinformował, że mieszka na dworcu. Tego samego dnia po interwencji ministra otrzymał miejsce w akademiku.

Wpajana przez rodzinę miłość do ojczyzny, dziecięce przeżycia z czasów wojny i okupacji, przykład stryja walczącego w kampanii wrześniowej i później podczas zdobywania Berlina zdecydowały o tym, że jako ochotnik (nie był pełnoletni) postanowił uczestniczyć w szkoleniu wojskowym. Wiązało się

to z poważnym ryzykiem, ponieważ w czasach stalinowskich niezaliczenie przedmiotów wojskowych lub niewykonanie strzelania było równoznaczne z wydaleniem ze studiów i traktowane jako sabotaż.

Pracę zawodową rozpoczął w 1958 roku w Szkole Podstawowej w Pawłowie, a od 1959 roku był nauczycielem (później kierownikiem i dyrektorem) Szkoły Podstawowej w Krasnem.

W roku 1965 uzyskał stopień magistra historii na UMCS w Lublinie. Na teże uczelni ukończył w 1975 roku Podyplomowe Studium Filozoficzno – Religioznawcze, a w roku 1987 w Instytucie Kształcenia Nauczycieli w Warszawie uzyskał trzeci (najwyższy) stopień kwalifikacji zawodowych w zakresie wiedzy o społeczeństwie. Biegłe władał między innymi językiem niemieckim, czego potwierdzeniem było zdanie egzaminu państwowego w UŁ w Łodzi.

Przeszedł wiele etapów i szczebli kariery zawodowej, ponieważ obok pełnienia funkcji kierownika i dyrektora szkoły podstawowej, był między innymi podinspektorem szkolnym, inspektorem oświaty rolniczej, wizytatorem prope-deutyki w Kuratorium Oświaty w Chełmie oraz dyrektorem Liceum Zawodowego w Rejowcu, a później nauczycielem Liceum Ogólnokształcącego w Rejowcu, skąd odszedł w roku 1988 na emeryturę.

Jako emeryt pracował w licznych szkołach na terenie Chełmszczyzny, co złożyło się w sumie na 42 lata pracy w oświacie. Zaowocowało to nie tylko osiągnięciami uczniów (jeden z nich został laureatem ogólnopolskiej olimpiady filozoficznej), ale także sympatią i szacunkiem ze strony wychowanków i ich rodziców.

Czasy, w których przyszło mu żyć i pracować, wymagały dużego zaangażowania społecznego. Jako kierownik wiejskiej szkoły, stworzył z kierowanej przez siebie placówki ośrodek integracji miejscowej społeczności, centrum kultu-



ry i oświaty (prowadził kursy dla analfabetów, organizował różnorodne imprezy kulturalne, czyny społeczne, zbiórki na rzecz odbudowy Warszawy itp.). Uczestnił także jako samorządowiec, pełniąc funkcję radnego w GRN w Pawłowie.

Jego debiut publicystyczny miał miejsce w 1969 roku na łamach jednodniówki „Ziemia Chełmska”, gdzie zamieszczono tekst pt. *Dzień grozy. W 25 rocznicę pacyfikacji Pawłowa*. W tymże periodyku jeszcze kilkakrotnie publikowano artykuły jego autorstwa.

Opublikował kilkadziesiąt artykułów na tematy historyczne, filozoficzne, społeczne i podróżnicze w prasie lokalnej i regionalnej (np. „Tygodnik Chełmski”, „Kurier Lubelski”) oraz w wydawnictwach centralnych („Pokolenia”, „Głos Nauczycielski”, „Wychowanie Obywatelskie”).

Był człowiekiem zafascynowanym swoją „małą ojczyzną” i zarazem znanym jej wartość, dbającym o to, aby cenne elementy kultury nie zostały zapomniane, ale były przekazywane następnym pokoleniom i tym samym budowały poczucie wspólnoty.

Realizował to poprzez wręcz benedyktyńską pracę w trakcie wertowania dokumentów archiwalnych, by zaprezentować współczesnym czytelnikom realia życia w XVIII i XIX wieku. Artykuły

traktujące między innymi o dobrach ziemiańskich wybranych miejscowości Chełmszczyzny były zamieszczane w wydawnictwie „Rocznik Chełmski”.

Krótko przed śmiercią otrzymał tytuł AMICUS ANNALIS CHELMENSIS jako wyraz najwyższego wyróżnienia i uznania, z czego był bardzo dumny.

W roku 2004 został wiceprezesem Stowarzyszenia Przyjaciół Pawłowa oraz pierwszym redaktorem naczelnym czasopisma regionalnego „Głos Pawłowa”, gdzie również zamieszczano jego teksty.

Debiut książkowy Stanisława Lipińskiego miał miejsce w 2010 roku, kiedy to opublikowano pozycję pt. *Rejowiec Fabryczny. Historia i współczesność*.

W następnym roku wydał książkę opartą na badaniach ankietowych z udziałem 1018 respondentów, przeprowadzonych w latach 1980 - 1981, dotyczących postaw światopoglądowych młodzieży Chełmszczyzny.

W tymże roku ukazała się kolejna publikacja książkowa nosząca tytuł *Pawłów – dzieje parafii i kościoła*, a także pod jego redakcją (w roku 2012) wydano obszerną monografię *Zarys dziejów Pawłowa od XV do XX wieku*.

W 2012 roku wspólnie z małżonką Lucyną wydał antologię noszącą tytuł *Kredą i piórem – nauczyciele Chełmszczyzny współcześni twórcy literaccy*.

Kolejną publikacją zwartą autorstwa Stanisława Lipińskiego była pozycja *Stanisław Wanarski – bohater i społecznik* wydana w 2014 roku.

Po śmierci żony (2014 r.), a w dwa lata później także syna Roberta, ze zdwojoną energią poświęcił się pracy twórczej, by w ten sposób zagłuszyć w sobie rozpacz, cierpienie i tęsknotę. Od tego okresu archiwalia towarzyszyły mu prawie do końca życia.

Co roku powstawały książki traktujące o przeszłości najbliższych okolic

poparte bogatą dokumentacją. Były to:

1. *Dobra ziemiańskie w parafii Pawłów w XVIII i XIX wieku* – 2016
2. *Zarys dziejów parafii Olchowiec od XV do XXI wieku* – 2017
3. *Ziemianie i ich dobra w parafii Olchowiec XVIII i XIX wieku* – 2018
4. *Z dziejów parafii w Kumowie* – 2018
5. *Dzieje wybranych dóbr Chełmszczyzny z terenów Pobuża w XVIII i XIX wieku* – 2019
6. *Wybrane dobra ziemiańskie z okolic Sawina w XVIII i XIX wieku* – 2020
7. *Zarys dziejów parafii w Pawłowie* – 2021

Książki Stanisława Lipińskiego znajdują się między innymi w bibliotekach uniwersyteckich, w Bibliotece Narodowej w Warszawie, a także wzbogacają zbiory Biblioteki Kongresu Stanów Zjednoczonych, Biblioteki Uniwersytetu Harvarda, Uniwersytetu w Toronto oraz Biblioteki Narodowej w Monachium.

Nie odnajduję słów

Jest na świecie taki rodzaj smutku, którego nie można wyrazić łzami. Nie można go nikomu wytłumaczyć. Nie mogąc przybrać żadnego kształtu, osiada cicho na dnieserca jak śnieg podczas bezwietrznej nocy.

Haruki Murakami

Nie odnajduję słów, by opisać adekwatnie i w pełni tę pustkę. Wszystkie wydają mi się ułomne. Jest to jednak coś na kształt otwierającej się przepaści, która gwałtownie pochłania stabilny grunt – odbiera znaczenia, zawłaszcza nadzieję, pozbawia wszelkich obron. Tak odchodził. Szybko. Jakby nie chciał swoim odchodzeniem nikogo zbyt długo martwić. Ale ból w nas nie jest wcale słabszy. On pulsuje.

Trudno mi opisać Dziadzia w pełni Jego życia i potencjału i zdystansować się na potrzeby tej publikacji do Jego niedawnej śmierci. Ona absorbuje większość moich myśli wokół braku, choć Dziadzio wcale z brakiem nas – żyjących – nie zostawił. To taki moment żałoby, kiedy dostrzegając ogrom bogactwa, jakie w nas umieścił, nie ma jeszcze w przeżywaniu przestrzeni, aby móc się z tego cieszyć.

Dziadzio zawsze stawał na wysokości zadania szczególnie takiego, które wymagało jak najwierniejszego opisu rzeczywistości historycznej, społecznej, obyczajowej czy emocjonalnej. Czynił to jako historyk, publicysta, pisarz, poeta, lingwista. Czynił to jako człowiek wszechstronnie uzdolniony, syntetyzujący treści, ale przede wszystkim wrażliwy

na otaczający Go świat i ludzi, a także na rządzącą nimi dynamikę. Nie mogę dla Niego nie sprostac temu jednemu z – jak sądzę – najtrudniejszych zadań. Postaram się opisać, kim był dla mnie.

Dziadzio Stasio. Nie dziadek. Tylko określenie „dziadzio” od dzieciństwa aż po moją obecną dorosłość pasowało do Jego łagodności i ciepła, które rozprzeczował na różny sposób – uśmiechem, pieszczołliwymi gestami, całym arsenałem zdrobnień, jakimi się posługiwał zwracając się do żony, dzieci, wnuków, prawnuków... Ja byłam „Myszeczką”.

Śmiał się bezgłośnie. Całym sobą. Czasem aż do łez. Zawsze wydawało mi się, że drzemie w nim niewyczerpalne źródło anegdot i dowcipów. Żonglował nimi bardzo sprawnie i w tej dziedzinie pośród członków rodziny nie miał sobie równych. Często opowiadał mi historie ze swoich zagranicznych podróży mówiąc po hiszpańsku, niemiecku, włosku czy rosyjsku. Z trudem przerywałam mu z prośbą o równoczesne tłumaczenie. Widać było, że taka swoboda i biegłość językowa sprawiała mu wielką przyjemność. Dla mnie nadal jest ona powodem do dumy i niedoścignionym wzorem i właśnie dlatego uważam, iż niełatwo być wnuczką takiej Osoby.

Wzruszający jest fakt, iż jako nastoletni chłopak mieszkający na wsi, zafascynowany powieściami Karola Maya, dołożył wszelkich starań, aby rozpocząć studia w Warszawie na Wydziale Filologii Orientalnej. Przy ograniczonych zasobach środowiskowych i finansowych zdaje się, że ciekawość i determinacja Dziadzia nie miały granic. Realizował marzenia, które – jak na tamte czasy – potencjalnie były nie do spełnienia. Każda frustracja i wysiłek związany ze zdobywaniem przeze mnie wiedzy trafił na znaczeniu przy potężnej sile poznawczej mojego Dziadzia. Zachował ją na długie lata, bo jeszcze jako 73- latek podjął się nauki języka fińskiego.

Uwielbiał zwierzęta, szczególnie psy. Często powtarzał, że „pies też człowiek”, tuląc ich pyski do swojego czoła. W tym stwierdzeniu i geście oddawał szacunek istotom od Niego zależnym, ufny i spragniony z Nim kontaktu.

Był bardzo muzykalny. Grał na gitarze i harmonijce. W Wigilię zawsze czekaliśmy na Jego wykonanie kolędy „Cicha noc”, kiedy wspierał głównie kobiece głosy swoim głębokim basem. Pamiętam też, jak w przeddzień śmierci Babci, a swojej żony, zastałam Go w kuchni, gdy nucił utwór Elvisa Presleya „Love me tender”. I tak właśnie kochał - nie na pokaz, romantycznie, cierpliwie, trochę w tle. Jak dowiadywał się, ile dla nas znaczy, często się wrzucał i nie mógł udźwignąć tych wszystkich plonów miłości, które w nas zasiał.

Wnuczka

Kącik poetycki

Ewa Bechyne-Henkiel

Ewa Bechyne-Henkiel, Kresowianka urodzona w Łucku na Wołyniu, córka Sybiraka, absolwentka Zmartwychwstanek w Częstochowie oraz Uniwersytetów: KUL i UMCS w Lublinie, poetka i pisarka. Reprezentuje nurt poezji refleksyjnej: od wierszy o silnym podłożu biograficznym, poprzez wiersze religijne, filozoficzne, opiewające urodę świata, także wiersze okolicznościowe dla przyjaciół - po wiersze narracyjne, w których da się wyczytać ślady historii, podróży, lektur. Wiersze o wyjątkowo klarownej i nowoczesnej formie, asylabiczne, o inspirującej do refleksji metaforyce. Piękna polszczyzna, przywracająca zamierające słowa, pełna literackich i wielokulturowych odniesień. Kwestie biograficzne porusza także w prozie, jednak główny trzon jej twórczości stanowią teksty poetyckie. Jest autorką 6 zbiorów wierszy: „pod białą różą” (2010), „pod różą herbacianą” (2012), „pod różą stulistną” (2013), „BezKresne niezapomnianki” (2013), „pod różą czerwoną” (2014), „pod różą lawendową” (2017) oraz 2 książek prozą: „Maniewicze dwoma sercami malowane” (wspomnienia z dzieciństwa na Wołyniu) i „Opowieści Reginy Grabe” (historia życia przyjaciółki autorki) – 2016. Jest członkiem Związku Literatów Polskich.



Ewa Bechyne-Henkiel

gdzieś, kiedyś - w Mezopotamii

gdzieś -
na łęku nocy
moja i twoja
gwiazda,
obok – ciągly
skrzyp piachu
pod drewnianymi
kołami pędzącego
rydwanu czasu...

aż – kiedyś
i na nasze ślady
zacznie opadać
sypka cisza,
tworząc
beziemne wzgórze,
jak nad
zaginionymi
miastami Sumeru...

Hipoterapia

Markowi Skalskiemu

gdy byłeś dzieckiem -
lata - złotymi bułankami
stępem hiszpańskim
szły wolno...

gdy byłeś dojrzały –
lata – jak gniade konie
klusem wyciągniętym
przed siebie biegly...

w późnej dorosłości –
twoje lata –
konie myszate,
czterema stopami
nad ziemią
w cwale zawieszono –
niech zanoszą cię
na łąki wyobraźni
wiecznie zielone,
abyś mógł wciąż –
jak w hipoterapii –
sycić się
odradzającą runią
dobrych emocji...

panta rhei *

Narew
przelewa się
pod mostem
ciąglym
wiosennych wód
przybraniem...
nic w naszym
życiu nie jest
proste,
bo wszystko
ciąglym jest
stawaniem,
nikną granice
przeciwności:
życie się śmiercią,
noc – dniem
staje...
są tylko stałe
ciągle przejścia
zimowej pustki –
w kwietne maje...

* panta rhei – (gr.) – wszystko płynie;
przypisywane Heraklitowi

skok

moim pacjentom

lecisz - jak ważka w słońcu,
powierzchnia wody
wyskakuje naprzeciw
łamiąc pień życia,
nagły ból – jak biały szkwał
zatapia czółno świadomości,
tylko chwilę
na krawędzi niebytu
słyszysz wzburzone
ludzkie głosy –
jak fale przyboju,
ale – nie rozumiesz słów...

budzisz się
na łóżku ortopedycznym
oblepiony niczym owad –
wylinką ciała bez czucia,
i nie umiesz się śmiać
z bezwzględnej żartu
nieodwracalnej Atropos...

Fotoreportaż „Głosu Pawłowa”



25-lecie święceń kapłańskich w Pawłowie. Fot. D. Karwat



Dożynki w Wólce Kańskiej



Rajd „Tour de Lubelskie” w Pawłowie



Szkoła Podstawowa w Pawłowie - absolwenci



Wyjazd wakacyjny pawłowskich parafian. Fot.D. Karwat



XX Jarmark Pawłowski. Fot. T. Sławiński



XX Jarmark Pawłowski - Zespół „Swojska Nuta”. Fot. M. Kurczewicz



Złote Gody w Pawłowie

Wydanie gazety współfinansowane ze środków
Gminy Rejowiec Fabryczny